31761 08822376 7

H. Sienkiewicz

PISMA

VI

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VI.

KRAKOW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM VI

LISTY Z PODRÓŻY:
SZKICE AMERYKAŃSKIE.
Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

486080
17. 2. 49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Февраля 1899 г.

LISTY Z PODRÓŻY.

X.

Szkice amerykańskie.

Z puszczy.

I.

Późną nocą przybyliśmy wraz z towarzyszem moim Dżakiem do skwatera Plesenta. Nazajutrz rano miało się rozpocząć polowanie na szarego niedźwiedzia.

Miejscowość, zajmowana przez Plesenta, stanowi dość obszerną dolinę, pokrytą odwiecznymi dębami; z jednej strony ciągnie się ogromnem półkolem wydłużone wzgórze, ucięte równo jak mur; drugi zaś i bardzo spadzisty brzeg przeciwległy tejże doliny utworzony jest przez potok. Za potokiem ciągnie się inna płaszczyzna, znacznie niższa, zamknięta wysokiemi górami.

Całość, na którą pierwszy raz rzuciłem okiem

przy świetle księżyca, przedstawiła mi się bardzo romantycznie, jak zresztą większa część siedzib skwaterskich, położonych w canionach. Dolina wyższa, niższa i następne amfiteatralne wzgórze, zatoczone łukiem, tworzyły jakby olbrzymi cyrk rzymski, albo jakby rodzaj schodów. U stóp ich szumiał w korytarzu skalnym potok, stanowiący zarazem drogę do osady. Noc była już późna, ale pogodna. Księżyc zatapiał światłem cały ów amfiteatr wzgórz i arenę doliny. Wszystko to było teraz ciche i uśpione. Można było mniemać, że igrzysko skończyło się przed chwilą; Cezar opuścił miejsce, lud rozproszył się w ulicach miasta, a na arenie, na krwawym piasku, leżą uśpione na wieki ciała gladyatorów. Zdala widoczne spiętrzone skały, o kształtach często dziwnie symetrycznych, wydawały się podobne przy świetle księżyca do posępnej masy domów wielkiego miasta. Złudzenie takie sprawia czasem pyszna dekoracya teatralna; to też chwilami znowu zdawało mi się, że widzę ją przed sobą, najpiękniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem.

Szczekanie psów oznajmiło mieszkańcom doliny o naszem przybyciu. Wkrótce przez konary dębów ujrzałem błyszczące ognisko i oświe-

cone czerwono ściany białego domku. Przy ognisku migały postacie ludzkie, chodzące tu i owdzie, lub siedzące obyczajem indyjskim w kucki. Wdrapawszy się na wysoki brzeg strumienia, znaleźliśmy się w podwórzu domu. Jednocześnie gospodarz, który był wyszedł na nasze spotkanie, powitał zwykłem «halo!» mego towarzysza, a następnie poznajomił się ze mną.

Gdy zbliżyliśmy się do ogniska, przedstawił mnie swej żonie, Donnie Refugio, która, z prawdziwie hiszpańską uprzejmością, porzuciwszy natychmiast przygotowania do wieczerzy, poczęła ze mną rozmawiać. Była to kobieta mogąca liczyć około lat czterdziestu, o rysach twarzy regularnych, ale zwiędłych i jakoby martwych. Jak żyję, nie widziałem twarzy tak smutnej. Gdym potem pytał o przyczynę tego smutku, powiedziano mi, że Donnie Refugio umarła młoda i ukochana siostra, ukąszona przez grzechotnika. Donna Refugio, bezdzietna, kochała ją nad wszystko w świecie, to też od śmierci dzieciny nie widziano już uśmiechu na ustach osieroconej.

Tak goście, jak i mąż Donny Refugio umieli widocznie uszanować jej smutek, wszyscy bowiem obchodzili się z nią ze szczególną troskli-

wością, starając się spełniać w lot jej życzenia i prawie odgadywać jej myśli. To uszanowanie dziwiło mnie tembardziej, że w Donnie tej płynęła widocznie domieszka krwi indyjskiej, co łatwo było poznać po kruczych a grubych jej włosach i smagłej cerze. Ale istoty wyższe, bez względu na swe pochodzenie, umieją zjednać sobie cześć należytą; Donna Refugio zaś, jak później przekonałem się, była to kobieta niepospolicie rozumna, a nawet niepospolicie wykształcona; stanowiła też rodzaj wyroczni w swem nawpół dzikiem otoczeniu. Przyjeżdżano do niej po radę i pomoc z całej okolicy: z Anaheim, Orange, a nawet aż z Los Nietos, skąd była rodem, gdzie rodzice jej posiadali znakomite obszary stepu. Wysokiego z linii męskiej urodzenia, co dla Meksykanów stanowi niemałą wagę, była przez ojca spokrewniona ze wszystkimi Meksykanami, przez matkę zaś ze wszystkimi Metysami. Stosunkowo znaczne bogactwa przydawały jeszcze blasku i powagi jej rozumowi i cnocie.

Mąż jej, również jak i towarzysz mój Dżak, pochodził z Luizyany; przeniósł się zaś do Kalifornii po wojnie domowej. Był to dżentlemen rosły, młodszy o parę lat od żony, o poczci-

wych niebieskich oczach i łagodnej, choć energicznej, twarzy. Prócz tego poznałem dwóch jeszcze skwaterów z canioniu Madeira. braci Shrewsburych (Szrüsbery), starszego Sama i młodszego Lucyusza. Sam, czyli Samuel, był to doskonały typ Amerykanina-pioniera. Wzrostu miał ze sześć stóp, twarz podobną do głowy starego wilka, wejrzenie rozumne, ale przebiegłe; ogromne kościste ręce, takież nogi, budowę suchą, ale rozwiniętą, znamionującą potężną siłę. Chwilami twarzą i postacią przypominał mi Lincolna, który również był doskonałym typem *yankee* w swoim rodzaju. Mówiąc cokolwiek, Sam wyciągał przed siebie swoje olbrzymie nogi i głowę, i głaszcząc ręką obrosłe podgardle, poczynał zawsze od rozwleklego *wel*. Prócz tego gryzł wiecznie tytuń i spluwał co chwila obrzydliwym czerwonym sosem. Była to także powaga swego rodzaju. Biegły bartnik, był zarazem niezrównanym myśliwym, budowniczym, stolarzem, cieślą, kowalem, mularzem — słowem: wszystkiem. Takimi wszystkowiedzami są po największej części skwaterowie. Uczy owych rzemiosł osamotnienie, potrzeba i konieczność rachowania zawsze i wszędzie wyłącznie na własne siły. Z tych warunków wypływają rów-

nież różne przymioty moralne, jako to: pewność siebie, wysoka niezależność charakteru, republikański sposób myślenia i niepożyta energia, połączona dziwnym sposobem z niejaką powolnością i flegmą. Dwie te ostatnie cechy niezmiernie łatwo mogą omylić tego, ktoby chciał upatrywać w nich znamiona niedołęstwa i niezaradności. Przeciwnie, płyną one tak z zimnej krwi, wrodzonej anglosaksońskiej rasie, jak i ze zwyczaju zastanawiania się głębokiego nad każdym zamierzonym celem.

Skwater myśli powoli, bada, rozważa, ale przedsięwziąwszy raz cokolwiekbądź, doprowadza, choćby niepodobne rzeczy, do skutku.

Sam uosabiał w wysokim stopniu wszystkie wspomniane cechy pionierskiego typu, dlatego też opisałem go szerzej. Lucyusz, młodszy o kilkanaście lat, całe życie spędzał na włóczeniu się po lasach. Miał i on swoje pszczoły, ale pilnował mu ich starszy brat, który kochał go jak syna. Mieszkali razem, Lucyuszowi bowiem nie chciało się budować domu. Czasem po kilka tygodni i miesięcy nie było go w domu. Za to, wróciwszy, przynosił zapasy skór pum, niedźwiedzi, rysiów i jeleni. Uchodził za niechybnego strzelca. W wyprawach swoich zapuszczał

się przez pustynie, leżące z tamtej strony San-Bernardino, aż do Arizony. Wogóle znać w nim było wesołego chłopaka, zaufanego w swój karabin i potężne muskuły, a niedbającego o jutro i rozmiłowanego w awanturach.

Goście ci, wraz z kilkunastu Meksykanami, siedzieli nie w domu, dom bowiem składał się tylko z jednej izby, którą do połowy zajmowało małżeńskie łoże Plesentów, ale obok domu, naokoło ogniska. Z powodu ciepłego klimatu, powszechnie przyjętym zwyczajem w górach jest, że mieszkańcy sypiają tylko pod dachem, siedzą zaś, gotują i jedzą na świeżem powietrzu. Moskitów, które stanowią plagę ciepłych krajów i które wypiły tyle krwi mojej nad oceanem Spokojnym w Anaheim Landing, niema tu wcale, nic więc nie staje na zawadzie temu życiu pod gwiazdami. Wreszcie, jak wszędzie, tak i u Plesentów, niedaleko domu i ogniska wznosiła się werenda, składająca się z czterech cienkich nieobciosanych pni platanowych, na których oparty był dach, upleciony z liści i suchych prętów laurów. Pod tą arcy prostą budową, gospodarstwo spędzali większą część życia, pod nią także stał teraz stół, a raczej deski, na których pani Refugio przygotowywała

wieczerzę. Ogień, podsycany ustawicznie przez Meksykanów suchymi laurami, buzował się potężnie, strzelając czerwonymi pasami wyżej prawie nad dach werendy i obejmując ze wszystkich stron okopcone łono kotła, w którym gotowało się mięso antylopy wraz z czerwoną fasolą.

Obok na patelni warczały, skwarząc się, kurcząc i sycząc, jak dusze potępione, kawałki słoniny, ulubionego przysmaku meksykańskiego. Japońska herbata z miodem, gotowana we wrzącej wodzie, miała stanowić dopełnienie wieczerzy. Ognisko i zgromadzeni naokół niego ludzie, gdym, oddaliwszy się na chwilę, spojrzał na nich z ciemności, dziwnie oryginalny przedstawiali widok. Wyobraź sobie, czytelniku, te krwawe snopy światła, sypiące deszczem iskier, wśród zatopionej światłem księżyca atmosfery; te drzewa jednocześnie mroczne od nocy, srebrne od księżyca i różowe od blasku płomieni. Wyobraź sobie, że słyszysz potok szumiący licznymi wodospadami w kamiennym korytarzu, a dalej jeszcze — ciemny, majestatyczny amfiteatr gór i skał, rysujących się czarno na srebrnem tle nocy. Siedzące przy ognisku postacie dodawały jeszcze romantycznego uroku krajo-

brazowi: rzekłbyś, że to oddział zbójców Kalabryi, lub kleftów w Pindus. Bardziej jeszcze dziko od Sama, Lucyusza, Dżaka i Plesenta wyglądali Meksykanie. Siedząc w kucki przy ognisku, obyczajem indyjskim, zachowywali na twarzach zarazem indyjską powagę i hiszpańską dumę, dziwnie odbijającą od podartej odzieży, nie okrywającej dostatecznie nagich kolan i łokci. Przyszły mi na myśl widywane w dziecinnych latach obozowiska cygańskie. Też same twarze z rozrzuconym włosem, też same brody, czarne jak krucze pióra, też łachmany zamiast odzieży; tylko powaga większa, i pycha nieporównana, i poczucie godności własnej, jakich niemasz między Cyganami.

Wszyscy ci kaballerowie byli to krewni pani domu i blizcy krewni między sobą. Kiedy zapoznawano mnie z nimi, wymieniano tylko ich imiona, więc: Doroteo, Francisco, Antonio, Jesus i t. p.; nazwisko zaś mieli wspólne: Salvadores y Guerra. Byli to, jak mi mówiono później, potomkowie rodziny niegdyś bogatej i mającej obszerne posiadłości, która jednak, w miarę jak kraj zaludniał się yankesami, straciła wszystko i zeszła na koczujące dzikie życie w górach.

Jest to zresztą los znacznej części dawnych właścicieli ziemskich pochodzenia hiszpańskiego. Sprytniejsi, pracowitsi i przemyślniejsi Amerykanie północni zabrali im zwolna grunta, bogactwa, znaczenie, tak, że dumni caballerowie zeszli na miejscowy proletaryat, który albo żyje w nieosiadłych jeszcze górach, albo pasie trzody na stepach, albo wreszcie prowadzi życie wyrobnicze w osadach.

Za upadkiem fortun i znaczenia przyszedł upadek moralny. Meksykanie parobcy są doskonałymi, bo wytrwałymi i silnymi robotnikami, ale piją jeszcze lepiej od Irlandczyków; Meksykanie koniuchowie i skotarze oddają się po całych dniach szulerstwu w szałasach i sklepowych wentach; Meksykanie skwaterowie są to po największej części próżniacy, żyjący Bóg wie jak i z czego. Niektórzy trzymają konie, handlują drzewem, wycinanem w pustych canionach, wbrew zakazom rządowym; wszyscy zaś skłonni są wielce do bójek, kradzieży i złodziejstwa.

Żywioł anglosaski wyrzucił ich z roli, handlu, przemysłu, wyrzucił ich zaś nie przez jakieś środki gwałtowne, przedsiębrane przez rząd, nie przez zakazy, wzbraniające w czemkolwiek

udziału, ale poprostu przez większą energię, zapobiegliwość i większy dar organizacyjny.

Jest wprawdzie jeszcze w Kalifornii kilkanaście rodzin meksykańskich, które utrzymały się w dawnej zamożności i znaczeniu, ale te albo roztopią się w nowym żywiole, albo spotka je los reszty współbraci. Zbytek i duma grają niemałą, a dobrze i u nas znaną rolę między owymi *morituri*. Bogaty, choćby niezmiernie bogaty *yankee* jest to zawsze pracownik, parobek; jeśli jest kupcem, siedzi w sklepie, jeśli rolnikiem, sam sieje, orze, bronuje; słowem, robi wszystko ze swoimi najemnikami, z którymi razem jada. Prawie nie chce się wierzyć europejskiemu przybyszowi, że tak jest, a jednak tak jest. Szacunek i zamiłowanie niesłychane pracy — to potęga niezwalczona, oto przyszłość świetna i światowładna yankesów. Powtarzam jeszcze raz: yankes to robotnik, czasem milionowy, czasem biedny, ale zawsze robotnik; Meksykanin to drugi biegun, to antyteza yankesa.

Bogaty Meksykanin — to pan, w europejskiem znaczeniu tego słowa. W Los-Angelos widywałem niekiedy arystokratycznie wyglądających dżentlemenów, w czarnych najnowszej mody surdutach i świetnej bieliźnie, odbijającej jaskra-

wo od ciemnej ich płci, w powozach lub na dzielnych koniach, często ze służbą pieszą lub konną. Dystyngowana powierzchowność i duma, malująca się w twarzach owych dżentlemenów, zwróciły moją uwagę. Uważałem, że chcąc naprzykład kupić coś, nigdy nie wchodzili do sklepu, ale zatrzymywali się na ulicy, kupiec zaś z pośpiechem wychodził pytać, czegoby żądali. Pytałem, kto oni są, odpowiadano mi z ironicznym uśmiechem, że to Meksykanie, panowie Jorba, posiadacze ziemscy, do których przed niedawnym jeszcze czasem należały całe «caniony» w południowej Kalifornii. Niektórzy jeszcze mają znaczne posiadłości, ale po większej części nie sięgające dziesiątej części tego, co posiadali dawniej. Najbogatszego z Jorbów liczył znajomy mi kupiec Hobson na czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale mówiąc o tem, dodawał zawsze z nieukrywanem zadowoleniem: «To się jednak skończy wkrótce».

— A cóż potem będzie? — pytałem.

— Potem? Potem paść będą nasze owce. Rzecz to bardzo prosta, zdaje się. Jeżeli Jorba posiadający 40,000 dolarów ma czterech synów, to każdy z tych synów odziedziczy tylko 10,000 dolarów: nie prawdaż?

— «Certainly!» to jest prawda.

— Otóż wiedz pan o tem, — mówił dalej Hobson — że każdy z tych synów będzie żył tak samo, jak jego ojciec, chociaż będzie posiadał czwartą część tego, co ojciec. To ruina nieuchronna.

O! mój Hobsonie, myślałem sobie, iluż to ja znam Jorbów za oceanem! Masz racyę! ruina nieuchronna, ale nie wiem, czy to dopuszczenie Boże, czy co? dość, że Jorbom już nie mieści się w głowie tak prosta logika. Gdyby Hobson umiał po łacinie, opisałby mi Jorbów jednem słowem: *morituri*. Później poznałem ich osobiście. Są to dżentlemeni w całem znaczeniu tego słowa; gościnni, dumni, uprzejmi, waleczni, słowem — rycerze, którym nie brak nawet cechy arystokratycznej, że nie płacą swych sklepowych długów. Ale poznawszy ich, przekonałem się także, że przy tych wszystkich przymiotach, są to ludzie wprawdzie bardzo dobrze wychowani, ale poprostu nieoświeceni. Są to głowy, w których zewnętrzna, prawie wrodzona ogłada, pokrywa wewnętrzny obskurantyzm, masę przesądów i brak wielu elementarnych poprostu wiadomości. Pierwszy lepszy kupiec lub robotnik amerykański, który żuje tytuń, nie nosi

nigdy krawata, zakłada nogi na krzesła, słowem, pierwszy lepszy amerykański, wedle naszych pojęć, gbur, umie matematyki, historyi, geografii, nauk przyrodzonych i społecznych daleko więcej, niż elegancki pan Jorba. Za to pan Jorba często umie po francusku. Pan Jorba mieszka w Stanach Zjednoczonych; w Stanach Zjednoczonych są dwie partye: republikańska i demokratyczna; ty, czytelniku, przyjeżdżasz z Polski, i nie mając dokładnego pojęcia o tych partyach, pytasz o nie pana Jorbę. Czy wiesz, co się pokaże? Oto, że pan Jorba jeszcze mniej rozumie tej rzeczy od ciebie, a jeśli będziesz bardzo go nacierał, powie ci w końcu: «*Vous savez*... kłóci się jakaś kanalia o coś między sobą, ale my się w to nie mieszamy».

Oczywiście istnieją mniej więcej liczne od tej zasady wyjątki. Znajdą się rodziny meksykańskie bogate między kupiectwem, albo, jak mówią kupcy: «domy solidne»; niektórzy Meksykanie piastują poważne urzędy w państwie kalifornijskiem, ale że wogóle ludność ta marnieje pod naciskiem brata Jonathana, dowodem tego najlepszym wspomniane już przeze mnie wywłaszczenie z ziemi wszelkich posiadaczów pochodzenia hiszpańskiego. Koło Sacramento,

koło San-Francisco, ogromne obszary, należące niegdyś do rozmaitych «domów», obecnie zasiane są fermami, pozostającemi w ręku kolonistów północno-amerykańskich. Przypatrzmy się tylko nazwom miejscowości w całej Kalifornii. Poczynając od San-Francisco, Sacramento, i idąc ku południowi, spotykamy wyłącznie nazwy hiszpańskie: więc Merced, San-Louis, Obispo, Santa-Barbara, Santa-Monica, Los-Angelos, San-Diego. Wymieniam tylko znaczniejsze miejscowości, ale i nazwy drobnych miasteczek, rzek, gór, bodaj nawet i znaczniejszych ferm, wszystkie są hiszpańskie. Dowodzi to, że bądź co bądź, kraj był zaludniony niegdyś przeważnie ludnością meksykańską; wiemy zresztą, że Kalifornia nie tak dawno oderwaną została od Meksyku; swoją drogą, dziś w tych hiszpańskich miastach, miasteczkach, fermach, górach mieszka ludność północno-amerykańska, a dawna na północy znikła prawie już zupełnie, na południu zaś po większej części stanowi tylko najniższą robotniczą warstwę ludności.

Ani rządowi, ani ludności Stanów Zjednoczonych nie przychodziło nigdy do głowy amerykanizować kogokolwiek lub cokolwiek. W Kalifornii nie zmieniono ani jednej nazwy na an-

gielską. Zakładają kolonię Niemcy — zwą ją Berlinem, zakładają — Francuzi, zwą ją Paryżem, Polacy — Warszawą, Rosyanie — Petersburgiem i *all right!* Niech sobie samo miasto nazywa się nawet Szang-hai, dla każdego Amerykanina to wszystko jedno. Prócz tego, niemasz w całej Ameryce (US.) wielkiego miasta, gdzieby rozmaite narodowości nie miały stowarzyszeń, pozakładanach z wyraźnym i jawnym celem podtrzymania narodowości, języka, patryotyzmu. Rząd nietylko nie sprzeciwia się podobnym stowarzyszeniom, ale zapewnia im też same przywileje i prawa, jakie przysługują stowarzyszeniom wogóle.

Nawiasowo zauważę teraz, że nie widziałem nigdzie, aby narodowości wynaradawiały się tak prędko, jak tu. Dzieci przybyłych do Stanów Zjednoczonych Niemców, Francuzów, Polaków, Rosyan, jeżeli nawet umieją jeszcze język ojczysty, wolą mówić, nawet między sobą, po angielsku. Wyjątek stanowią tylko Chińczycy, których w Kalifornii jest mnóstwo, a którym osobną z czasem korespondencyę poświęcę.

Wracam do Meksykanów. Nie wynaradawiał, nie wypędzał i nie uciskał ich nikt; owszem, ci, którzy utrzymali się jeszcze, a którzy pamiętają dawne czasy, otwarcie przyznają, że

rząd Stanów Zjednoczonych jest lepszy niż dawny meksykański, i wcale nie okazują ochoty przyłączenia się do metropolii. Toż samo równouprawnienie i opieka, które są udziałem wszelkich narodowości, były udziałem i hiszpańskiej, a jednak ludność ta straciła grunt pod nogami.

Między Meksykanami znalazłem jeszcze jedną, im tylko właściwą cechę, to jest pychę pochodzenia i lekceważenie wszelkich innych narodowości, a zwłaszcza niesympatycznej im anglo-saskiej.

Czy uwierzylibyście, że pierwszy lepszy *caballero* meksykański, któremu kolano nagie wyłazi z majtek i który za cały majątek posiada jedną derkę, jedną koszulę, parę wspomnianych, wielce uszkodzonych inekspymabli, chudego jak Rosinant konia, lasso i paczkę *cigarittos*, że taki tedy caballero, dlatego tylko, że płynie w nim krew hiszpańska, do głębi duszy jest przekonany, że jest czemś lepszem od tych *yankesów*, u których zresztą służyć musi. Znane owo porównanie: «Dumny, jak żebrak hiszpański», nigdzie może nie wydaje się tak prawdziwem, jak w zastosowaniu do tej ludności. Duma owa często może zresztą bywa sztuczną, często ukrywa pod dziurawym swym płaszczem

charakter nizki, kłamliwy, chciwy zysków lub datku. Wogóle, moralność niższych warstw meksykańskich stoi tak nizko, jak i ich oświata. Wspomniałem już, że tylko energia żywiołu anglo-saskiego wstrzymuje ogół meksykańskiego gminu od grabieży, rabunków i ciągłych zaburzeń, których ustawiczną widownią jest Meksyk. Ale z owej sztucznej lub prawdziwej dumy, z owego rzeczywistego lub pozornego poczucia własnej godności, wyrodziła się jedna szczególniejsza cecha, wyróżniająca ten gmin od każdego innego, to jest grzeczność nadzwyczajna, posunięta aż do śmiesznej ceremonialności. W zwyczajnej rozmowie jeden Meksykanin nigdy inaczej nie nazywa drugiego, tylko *caballero* (rycerz); jeśli jeden drugiemu zaprzecza, czyni to ze wszelkiemi zastrzeżeniami, oddając zwykle sprawiedliwość głębokiemu rozumowi przeciwnika i trafnemu na rzecz poglądowi. Pierwsi lepsi dwaj obdartusi, wchodząc naprzykład do wenty, czyli po naszemu: szynku, czynią na progu wszelkie ceremonie i spory o to, który ma wejść pierwszy; słowem, jeśli w stosunkach z północnymi Amerykanami podróżnika przywykłego do europejskiej ogłady razi ich zanie-

dbanie wszelkich form, w stosunkach z Meksykanami znaleźć ich może aż zanadto.

Gdy Plesent zapoznawał mnie z Salwadorami, każdy z tych rycerzy podnosił się kolejno, uchylał kapelusza, w którym często było tyle dziur, ile w dachu żydowskiej karczmy; następnie, składając ceremonialny ukłon, wyciągał prawicę z taką dystynkcyą, gracyą i poczuciem własnej godności, jakich nie powstydziłby się żaden galicyjski hrabia. Zauważyłem następnie, że dżentlemeni ci, jakkolwiek wszyscy krewniacy, stryjeczni lub nawet rodzeni, nie opuszczali przecie, mówiąc z sobą, grzecznego *usted* lub *caballero*. Sądząc, że nie rozumiem po hiszpańsku, nie chcieli się przedstawiać grzeczniejszymi, niż byli w istocie, nie było więc nic udanego w ich rozmowie. Trzymali się jednak razem i jakby w pewnem oddaleniu od Shrewsburych, Dżaka, a nawet i Plesenta, zachowując zresztą w stosunkach z nimi zwykłą grzeczność. Było to nawet trochę śmieszne, rubaszni bowiem Amerykanie widocznie nie byli zdolni ocenić jak należy ani tej towarzyskiej polityki, ani owych uprzejmości, i ze swej strony, jako bogatsi, uważając się za coś lepszego, obchodzili się cokolwiek protekcyonalnie z czarnowłosymi

rycerzami. Zresztą harmonia panowała między obiema stronami jak najlepsza, tembardziej, że nie licząc pani Refugio, żaden z Meksykanów nie umiał po angielsku, skwaterowie zaś północni bardzo mało po hiszpańsku.

Nakoniec wieczerza była gotowa. Zasiedliśmy do niej pod werendą, nie na krzesłach, ale na starych ulach, mających kształt skrzynek. Lucyusz, ciągnięty przeze mnie za język, począł opowiadać swoje myśliwskie przygody.

— *By God!* — mówił — rok temu niedźwiedź miał mnie już pod sobą, i gdyby nie Sam, przysięgam na tę prawą rękę, że nie siedziałbym tu w tej chwili.

— *Well*, — odrzekł na to flegmatycznie Sam, gładząc podgardle — opowiedz dżentlemenowi swoje wyprawy do Arizony.

Weszliśmy więc na Arizonę. Lucyusz znał, jak utrzymywał, każdy jej zakątek, zwiedzał ją bowiem ze starym awanturnikiem, nazwiskiem Rub. Wypytywałem go o Indyan tamtejszych, Apaczów i Komenczów, o których dzikości i męstwie wiele słyszałem. Ale Lucyusz nie podzielał tego zdania. Apaczowie nie są wcale w Arizonie tak dzicy, jak o nich myślą, mówił. Często zachodzą do miast tamtejszych, Prescot

i Tuscon, za kupnem różnych towarów, które wymieniają za skóry, wogóle przytem obawiają się białych ludzi. Dawniej było co innego: napady, grabieże i mordy zdarzały się codziennie. Nawet osady o znacznej stosunkowo ludności bywały zagrożone. Lucyusz pamiętał jeszcze dobrze te czasy. Opowiadał mi np., że zaszedłszy raz z Rubem do dwóch górników Francuzów, zastał ich obydwóch zamordowanych i oskalpowanych. Lucyusz także brał niejednokrotnie udział w walkach z czerwonymi. O ich męstwie mówił z lekceważeniem i pogardą. Twierdził, że w otwartej bitwie nigdy nie umieli dotrzymać białym i że wszystkie napady odbywały się nocą, niespodzianie, z zasadzki. Zresztą obecne pokolenia, żyjące w pobliżu osad, uspokoiły się już, zmuszone do tego krwawem doświadczeniem.

Przed paru laty odkryto w górach, przebiegających we wszystkich kierunkach kraj ten, obfite pokłady srebra, za którem to odkryciem nastąpiło zaraz obfite przesiedlanie się górników z Kalifornii, a w miarę zwiększania się ludności i większe stosunkowo bezpieczeństwo. Tylko pokolenia mieszkające na stepach, w górach, zwłaszcza ku wschodowi i południowi, są

jeszcze dzikie i drapieżne. Szczególnie odznacza się tem pokolenie Moave, mieszkające na granicy Sonory. Wypytywałem się o te szczegóły bardzo dokładnie, miałem bowiem zamiar puścić się do Arizony z pierwszą lepszą karawaną górników, lub osadników szukających roli. Obecnie dosyć to łatwo doprowadzić do skutku, w całej bowiem południowej Kalifornii panuje dość ożywiony ruch emigracyjny w tamtą stronę. Z tem wszystkiem, mimo tego ruchu, ponieważ sama Kalifornia, na przeszło sześciu tysiącach naszych mil kwadratowych, nie posiada jeszcze miliona mieszkańców, w środkowej zaś i wschodniej swej części prawie jeszcze jest pustą, więc i przyrost ludności w Arizonie nie może być znaczny. Dziś można powiedzieć, że ogromny Stan ten po największej części jeszcze jest bezludny. Główne miasta tameczne: Prescot i Tuscon, są osadami liczącemi zaledwie po kilkuset mieszkańców, w górach gdzieniegdzie istnieją małe osady «minerskie», w rzadkich dolinach, obfitujących w drzewo i wodę, tu i owdzie trafi się ferma lub «estancia» pasterska, a zresztą tysiące mil gór i stepów są jeszcze głuche, milczące i bezludne. Większa część osadników prowadzi dotychczas życie pionierskie,

to jest z palcem na cynglu od karabina. Górnicy i nieliczni pasterze po wybrzeżach rzek Gila i Colorado żyją pod namiotami.

Kraj nie produkuje jeszcze tyle, aby się sam mógł wyżywić, a ponieważ metalu, mianowicie srebra, jest obfitość, zapasy zaś żywności trzeba sprowadzać albo niesłychanie trudną drogą przez pustynie, albo przez ocean, naokoło Lower-California i zatoką Rubinową przez Colorado, drożyzna jest więc niesłychana. Funt mąki kosztuje dolara, funt kartofli cztery bity, czyli przeszło pięć naszych złotych. Podobne stosunki istniały dawniej w Kalifornii. Górnicy, posiadający mało pieniędzy, a wiele srebra *in natura*, lub też złotego piasku, płacą za wszystko najczęściej nie pieniędzmi, ale surowym metalem. Kupcy mają z tego powodu znakomite zarobki. Wogóle jednak Lucyusz odradzał mi podróż do tego Stanu.

— Nie możesz sobie wyobrazić, — mówił — co to za posępna i okropna okolica. Widziałem rozmaite pustynie. Lower-California jest pustynią, ale rosną na niej przynajmniej kaktusy i palmety. W naszej Kalifornii, również na drodze od Los-Angelos do St.-Francisco, rozciąga się ogromna przestrzeń bezwodnego stepu, ale

i ten pokryty jednym lasem palmetów, gdy tymczasem w Arizonie niema i tego nawet.

— Cóż tedy jest w Arizonie? — pytałem.

— Co jest? — odrzekł. — Powiem krótko: góry, skały, kupy siwych kamieni i step; ani wody, ani trawy, ani drzew, nic i nic, tylko kupy kamieni i łyse góry. Prawda, srebro tam leży wszędzie, ale niech przeklęty będzie mój język, jeśli warto tam je zbierać!

Potem pytałem o Gila i Colorado. Lucyusz przyznał, że brzegi ich są rzeczywiście żyzne i bujnie porośnięte, ale za tym zielonym pasem zaraz zaczyna się bezpłodna pystynia. Tam przecie rodzi się ów «Santa-Ana-wind», który dusi nas tu od czasu do czasu. Nakoniec co do canionów w tamtejszych górach: — znam ich, mówił Lucyusz, bardzo wiele. Lasów tam niema takich, jak w naszych: kryki mniejsze, a przytem prawie niedostępne. Wreszcie, jeśli gdzie i jest las, tam stoją wigwamy Apaszów. Samemu lub w małej liczbie towarzyszów niebezpiecznie tam chodzić.

— Niech przeklęta będzie Arizona! — zakończył wreszcie Lucyusz. — Zakładam się, że tam nigdy ludzie nie osiędą.

Opowiadaniom jego nie miałem powodu nie

wierzyć, sam bowiem widziałem kraje, bardzo do powyższego obrazu podobne. Napróżno starałbym się np. odmalować czytelnikowi, jakie straszne, jakie przygniatające wrażenie czyni Wyoming, Utah i Newada, przez które przejeżdżałem wielką koleją Dwóch Oceanów. Oko nic tam nie znajdzie, prócz to niezmiernego stepu, to dantejskich złomów i rozlomów skał, to urwisk, których nazwy same, połączone zawsze z imieniem dyabla, przejmują dreszczem, to nakoniec słonych jezior, odbijających szare, posępne niebo. Na przestrzeniach tak rozległych, jak europejskie mocarstwa, nie widziałem ani jednego drzewa. Szare stadka antylop lub wielkich jeleni migały czasem po skałach, ale czem żyją i co piją te stworzenia, to dla mnie dotychczas zagadką.

Wreszcie, nie szukając daleko, sama Kalifornia, lubo w ślicznym klimacie, lubo przeważnie urodzajna, bujna i wypieszczona przez ludzi i naturę, ma jednak miejscowości ogromne, prawie zupełnie bezwodne, stepowe, pustynne. Zwiedziłem np. niedawno ogromną pustynię środkową i spróbuję ją opisać w następnych listach, tu zaś nadmienię tylko, że także nie mogę inaczej powiedzieć, tylko że byłem w krajach Danta,

w krainie śmierci. Widziałem lasy palmetów, rosnące nakształt posępnych kolumn na piaszczystych bezbrzeżach. Posępne, dziwne jakieś gałęzie ich sterczą, jakby ramiona, wyciągnięte ku niebu z rozpaczliwą prośbą o ratunek. Milczenia w takim potępionym lesie nie przerywa ani jedno żywe stworzenie — cicho i cicho! Wiatr nie poruszy nawet porosłych jakby pleśnią i kurzem, przesmutnych ramion drzewnych, ani jednej kropli wody nie znajdziesz na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych, cienia nie dają te szeregi kolumn; ujedziesz między niemi całe dziesiątki mil, a przeraźliwa jednostajność ani na włos się nie zmieni; tenże sam piasek pod nogami, też same równe, jakby z pod cyrkla i linii pnie kosmate, też same gałęzie zadarte w górę.

Ostateczności wreszcie takich znajdziesz mnóstwo w Kalifornii. Za doliną Yosemita, owem artystycznem marzeniem Bożem, gdzie promienne warkocze kaskad przewiązują się wstęgami tęczy, gdzie zwierciadła jezior, rzekłbyś, pochłonęły wszystek lazur niebieski, gdzie drzewa wznoszą się na czterysta stóp wysokości, a ziemia zatopiona powodzią kwiatów — o ścianę skalną zaczynają się bezpłodne i bezwodne stepy.

O Arizonie słyszałem potem i inne opowiadania, w mniej czarnych malujące ją barwach, ale więcej wierzę Lucyuszowi, ten bowiem był tam prawie wszędzie i wszystko własnemi oczyma oglądał.

Skończywszy o Arizonie, począł opowiadać dalszy ciag swych przygód myśliwskich, poczem rozmowa zeszła na niedźwiedzia, z którym mieliśmy rozprawiać się nazajutrz. Stary Indyanin, Ramon, zamieszkały u Plesentów, zabrał głos i oświadczył, że zwierz to jest *muy grande* (bardzo wielki). Dowiedziałem się jednocześnie, że właściwe kółko myśliwskie stanowią tylko dwaj Shrewsburowie, Dżak, Plesent i ja, bo przybyli Meksykanie za całą broń posiadają lassa i noże. Mieli za to pilnować obu wyjść z doliny i w razie, gdyby zwierz chciał się wymknąć tamtędy, rzucić na niego sznury i zatrzymać na miejscu. Starzy Kalifornijczycy często wychodzą na niedźwiedzia tylko z lassami, ale niezrównana ta broń może być skutecznie użytą wyłącznie z konia, zatem nie w urwiskach i zaroślach.

Tymczasem skończyła się wieczerza, i zasiedliśmy na nowo przy ognisku. Stary Ramon wziął w usta instrument, zwany *cyotte*, i utkwi-

wszy oczy w niebo, jak pozujący koncertant, począł na nim brzdąkać. Zdala z ciemności dochodziły parskania meksykańskich mustangów, poprzywiązywanych lassami do drzew, i dzwonki kóz angorskich, zamkniętych w korallu, położonym na pochyłości góry. Słyszałem te dzwonki potem przez całą noc, przywiązują je bowiem koniom i kozom dla odstraszenia dzikich zwierząt. Dźwięk ich przygłuszony, jakoby echowy, sprawia wrażenie smutne, ale łagodne, i skłania do marzeń.

Siedzieliśmy wszyscy przez jakiś czas w milczeniu, przerywanem tylko przez trzask palącego się drzewa i ciche tony *cyotte*. Wkrótce jednak milczenie to przerwane zostało jednym z codziennych wypadków w tych górach. Koło korallu z koźlętami zaczął szczekać pies, inne poleciały zaraz za nim i przez chwilę wąwóz rozlegał się żarliwem ujadaniem. Plesent zapalił długą smolną szczypkę drzewa, wziął strzelbę i poszedł zobaczyć co się dzieje. Za nim poszedłem ja także i stary Ramon. Białe koźlęta beczały przeraźliwie, psy zaś, zebrane pod jednem wielkiem drzewem, popodnosiły w górę paszcze i wyły. Ramon, zebrawszy kilka kamieni, począł rzucać nimi w drzewa, świszcząc

przytem przeraźliwie. Przez chwilę nie poruszało się nic, ale po chwili ujrzeliśmy ciemne zwierzę, wielkości średniego psa, przeskakujące tak szybko na następne drzewo, że Plesent nie zdążył za niem strzelić.

— Co to było? — spytałem.

— *Lynx!* pomorek na jego potomstwo! — odpowiedział Plesent. — Przywiązuję dobrego psa w korallu, a jednak to nie pomaga. Przeszłego roku srebrny lew wybrał mi dwanaście koźląt i starego kozła, za którego w Los-Angelos zapłaciłem siedmdziesiąt pięć dolarów gotówką.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, przyczem oddaliłem się trochę na bok, wybierając drogę, jak mi się zdawało, krótszą, gdy nagle skwater zawołał:

— Nie tędy! nie tędy! ostrożnie, bo złapiesz się pan w żelaza.

Jakoż niewiele już do tego brakło. Dwa sąsiednie koralle, jeden z kozami, drugi z koźlętami, były to niby małe fortece, do których nie łatwo było wedrzeć się wrogom. Ale nic też nie nęciło tak wszelkiego rodzaju drapieżników, jak owa smakowita zdobycz. Całe życie Plesenta było ciągłą z nimi walką. Plesent, jeden z pierwszych zapewne skwaterów, wprowadził

chów kóz angorskich w górach Santa-Ana i miał już z niego znakomite korzyści, wełna ich bowiem o wiele jest droższa od owczej. Kalifornia hoduje wprawdzie setki tysięcy, a może i miliony owiec, ale hodowla ta trafia na jedną nieprzezwyciężoną jeszcze dotąd zupełnie trudność. Oto wszystkie stepy i góry kalifornijskie pokryte są gatunkiem ostu, którego małe, mikroskopijne prawie szyszki zaplątują się w wełnę, przez co utrudniają niezmiernie jej przędzę. Dotychczas, mimo licznych prób, nie wynaleziono jeszcze środka zaradczego, skutkiem czego i wełna nie ma tej ceny, jakąby mieć mogła i powinna. Kozy angorskie mniej są narażone na owe szyszki, sierść ich bowiem nie kędzierzawa, tak jak wełna owcza, ale długa i wisząca, mniej chwyta szyszki i łatwiej może być z nich oczyszczoną. Dlatego sądzę, że jakkolwiek chów kóz angorskich możliwy jest tylko w górach, rozwinie się on w przyszłości znakomicie i utworzy z czasem nowe a potężne źródło krajowego dochodu.

Chów ten zresztą, o ile mu się przypatrzyłem, nie przedstawia żadnych trudności. Skoro zaświta, otwierają korall, kozy wychodzą w góry, idą gdzie chcą, jedzą co chcą, na noc zaś wra-

cają do koralla. W dzień nie są narażone na napady drapieżnych zwierząt. Mimo przykrego zapachu, jaki wydają te zwierzęta, przypatrywałem się im czasem całemi godzinami. Oczy ich wielkie i łagodne, jedwabista, srebrna albo bladozłotawa sierść nadają im dziwnie wdzięczną postać. Kozły zwłaszcza mają sierść tak długą, że widać im z pod niej nogi tylko od kostek; najpiękniejsze jednak są małe koźlęta, o sierści krótkiej, mlecznej i ruchach gazelli. Po skałach, urwiskach, nad przepaściami wieszają się z nieporównaną zręcznością. Kozieł, brodacz z miną starego rozpustnika, jest wodzem, a przytem despotycznym władcą całego stada. On najpierwszy wychodzi rankiem z korallu; on prowadzi całe stado, pobrzękując dzwonkiem i kiwając poważnie głową; on wybiera miejsce paszy, nie dozwala zbyt rozpraszać się małżonkom, nagradza pieszczotami posłuszne, nieposłuszne zaś karci umiarkowanymi ciosami rogów. Wogóle wydaje się rozwiązłym, ale poważnym, statecznym i pełnym ufności w siebie. Z powodu ogromnej głowy, jeszcze większych rogów i obfitej sierści, robi wrażenie wielkiego zwierzęcia, w rzeczywistości jednak jest mały, a gdy go ostrzygą, wygląda jak pierwszy chły-

stek. Z psów nic sobie nie robi. Gdy zobaczy obcego, idzie wprost na niego, wytrzeszczając głupowate oczy, kiwając brodą i spluwając głośno, jak gdyby z obrzydzenia. Jeżeli pies nie ustępuje, albo, co zdarza się najczęściej, zatrzymuje się, wietrząc i przypatrując się także dziwolągowi, wówczas i kozieł, zbliżywszy się o kilka kroków, staje, przez chwilę patrzy, kicha jeszcze groźniej, nakoniec zniżywszy rogi, rzuca się jak piorun na wroga.

Pies mój był ustawicznym przedmiotem podobnych napaści. Zdarza się, że wojowniczy kozieł rzuca się i na swego pana, w chwili gdy ten otwiera korall, ale pan chwyta go wówczas za sierść, jedną ręką koło karku, drugą koło ogona, i bez dalszych ceremonii przerzuca przez płot o dziesięć kroków. Obrażony takiem postępowaniem, sułtan wyraża swoje oburzenie głośnem plunięciem i oddala się pośpiesznie.

Stary Indyanin, Ramon, który specyalnie zajmował się temi kozami, kochał je jak własne dzieci. Wracając z za koralla po odstraszeniu rysia, zabrałem z owym caballero bliższą znajomość. Był to starzec siedmdziesięcioletni, z białymi włosami, ale czerstwy i zdrowy. Twarz jego miała kolor bronzu. Mówiono,

że nie był zupełnie czystym Indyaninem, ale jeśli płynęła w nim jaka domieszka krwi białych, to musiała być bardzo nieznaczna. Parę łyków «brandy», które ofiarowałem mu z mej manierki, otworzyły mi jego serce. Siedliśmy potem koło siebie przy ognisku i poczęliśmy rozmawiać. Pytałem go: gdzie mieszka? Odpowiedział: W górach! — A gdzie jest *la casa de usted?* (dom jego?). On zaś: O! bobre Ramon! nie ma wcale domu. Mieszka czasem u Plesentów, czasem u Shrewsburych, czasem w namiotach Salvadorów, ale najczęściej u Plesentów, bo to bardzo, bardzo dobrzy ludzie. Dawniej, ale to bardzo dawno, Ramon miał żonę i dzieci, i szałasy, i stada własne. Potem... ta nieszczęsna woda ognista... «Ot, co tu mówić: teraz Ramon *solo* ach! *solito*... — powtarzał żałośnie — *solito*!» To rzekłszy, wziął swoje *cyotte* i począł znowu na niem brzdąkać, utkwiwszy oczy w ciemne, gwiaździste niebo.

Przypatrywałem się z ciekawością temu instrumentowi, nad który niema pewno prostszego na świecie. Wszystkie prawie stoki gór pokryte są rośliną, zwaną po hiszpańsku *cyotte*, której angielskiej nazwy nie mogłem się dopytać. Cyotte jest to kępa liści podobnych do liści

naszych lilii lub tataraku, tylko twardszych i zakończonych kolcami. Ze środka tych liści strzela w górę długa od pięciu do ośmiu stóp biała laska, grubsza od dołu, a zwężająca się ku górze. Koniec tej laski pokrywa się na wiosnę liśćmi przepysznego purpurowego kwiatu. Jest to roślina niezmiernie pożyteczna. Rdzeń laski, podobny do bzowego, lekki i wypełniający całą długość rośliny, dostarcza Indyanom i Meksykanom smacznego pokarmu. Jedzą także i korzeń. W czasie wycieczek myśliwskich w górach, próbowałem go niejednokrotnie. Ma on smak świeżego włoskiego orzecha. W czasie kwitnienia, około kiści purpurowych iskrzą się roje kolibrów i wielkich motyli, pszczół i bąków. Jesienią, gdy kwiat opadnie, a łodyga wyschnie należycie, wtedy jest przydatną do robienia instrumentów. Obcinają ją wówczas u góry i u dołu, potem przywiązują na niej strunę, podpartą z jednej strony kijkiem — i instrument gotowy. Jest to więc harfa o jednej strunie, ale gra się na niej inaczej, niż na zwyczajnej. Stary Ramon brał cieńszy koniec w usta i palcami jednej ręki przyciskał w rozmaitych miejscach strunę, dla wydobycia rozmaitych tonów, drugą zaś ręką ją trącał. Pomimo całego

ubóstwa dźwięków, Ramon potrafił jednak wygrać rozmaite melodye meksykańskie, po największej części melancholiczne i rzewne. Jeden z Salvadorów wtórował mu od czasu do czasu głębokim i dźwięcznym jak metal barytonem, którego pozazdrościłby mu niejeden śpiewak operowy. Treść piosenek była po największej części miłosna: «Gdym spał pod cieniem magnolii, — śpiewał Francisco Salvador — śniłem o tobie; gdym się zbudził i nie ujrzał ciebie, począłem tak płakać, żem usnął znowu!...» Po takim krótkim przedśpiewie, następował przestanek; przez chwilę słychać było tylko dzwonki kóz i tony *cyotte*, a potem śpiewak kończył podniesionym głosem, wyrażającym jak najgłębszą tęsknotę: «O Julia! o Julia!»

Większe jeszcze jednak wrażenie uczyniła piosenka, wyrażająca żal kochanka po utracie narzeczonej. «Deszcz odświeżał dla ciebie powietrze, wiatr chłodził cię, moskity uciekały od ciebie, figa pochylała ci gałęzie z owocami; gdzie nastąpiłaś, wyrastały kwiaty: jam ciebie kochał, o! kochał bardzo, a jednak opuściłaś mnie, dziewczyno.» Po skończeniu piosnki nastała długa chwila milczenia. Donnie Refugio przypomniała się zmarła siostra, i łzy zabłysły

w jej oczach, więc chcąc je ukryć, wstała i poszła pozmywać statki po wieczerzy; Lucyusz Shrewsbury sposępniał jak noc, a Plesent, zwróciwszy się do mnie, począł mówić:

— Pan nie znałeś siostry mojej żony? na imię jej było Monika. Kochaliśmy ją oboje jak własną córkę. Ach, panie! taka była dobra, taka młoda, taka ładna, ważyła przeszło sto czterdzieści funtów!... i ot, wąż ją ukąsił i umarła.

Byłbym gotów domieszać łzy moje do wspólnej łzawnicy nad losami pięknej Moniki, gdyby nie ta czysto amerykańska wzmianka o wadze stu czterdziestu funtów, która sprawiła, że musiałem przygryźć usta, aby się nie uśmiechnąć. Chcąc coś powiedzieć, spytałem: czy Monika już była narzeczoną? Na to Plesent spojrzał na Lucyusza, który patrzał ponuro w ziemię, i nie odrzekł nic. Potem dowiedziałem się, że nie była jeszcze narzeczoną, ale kochali się oboje z Lucyuszem. Co to za tragiczne rozwiązanie sielanki! co za powtórzenie smutnych losów Pawła i Wirginii! Lucyusz wyciosał własnemi rękoma trumnę dla kochanki. Na grób jej nanosił z siłą olbrzyma ogromnych kamieni, aby kujoty nie niepokoiły snu zmarłej, i między kamienie nasadził dzikich róż. Widziałem potem

to miejsce. Róże dzikie przez rok rozrosły się bujnie, i gdym się zbliżył, chwytały kolcami za moje odzienie, jak gdyby zmarła dziewczyna starała się zatrzymać przechodnia i prosić o «Zdrowaś Marya!«

Tymczasem na owych gawędkach, śpiewach i rozmyślaniach zeszła znaczna część nocy. Była północ. Kogut począł piać pod szopą, w której stał wóz i maszyny pszczelnicze Plesenta. Starszy Shrewsbury wyciągnął nogi, pogładził podgardle i, zwróciwszy się ku gospodarzowi, rzekł:

— *Well!* jutro wstaniemy o świcie!

Udaliśmy się na spoczynek. Meksykanie poszli do szopy, gdzie znajdowało się trochę słomy jęczmiennej, ale gdzie stał także odłączony od stada stary kozieł, zatruwający powietrze, Shrewsburowie zaś, ja i Dżak pokładliśmy się koło ogniska. Chociaż byłem niezmiernie zmęczony, a może właśnie dlatego, nie mogłem usnąć. Lucyusz, Monika, stary Ramon, jutrzejszy szary niedźwiedź, wszystko to krążyło w bezładnem zwichrzeniu w mej głowie. Przytem w uszach brzmiały mi ciągle monotonne dzwonki kóz; czasem zakwiczały konie; czasem zawyły na szczytach dalszych gór zwierzęta, to

znów psy zrywały się nagle i, biegnąc z hałaśliwem ujadaniem, niknęły w ciemnościach; sen zamknął mi powieki około godziny drugiej, gdy ognisko zasuło się popiołem i wygasło prawie zupełnie.

II.

Rozbudził mię chrzęst żelaznego stempla w lufie. Otwarłszy oczy, ujrzałem w półmroku, w półświetle, ogromną postać Lucyusza, pochyloną nad długą rurą karabina. Starszy Sam nie spał już także, Meksykanie ruszali się pod szopą, a w okienku Plesentów połyskiwało światło. Na niebie był dopiero pierwszy brzask. Niepojęty urok ma dla mnie zawsze ta chwila, w której Ormuzd kończy zwycięską walkę z Arimanem. Jest coś mistycznego w naturze, gdy powietrze poczyna nasycać się zwolna bladem światłem: coraz nowe przedmioty, to skały, to drzewa wychylają się stopniowo z cienia; światło określa ich kontury, bieli leciuchno linie, rysuje zwolna kształty, z początku szaro, blado, mętnie, sennie, potem coraz wyraźniej i wypuklej; rzekłbyś, ciemność miesza z sobą przedmioty, unicestwia i roztapia je w sobie, brzask

powołuje je napowrót do życia; uśpienie owija jeszcze świat, ale już zasłona nocy podnosi się, i jawa, wraz z wrażeniami rzeczywistości, poczyna się podstawiać w fantastyczne obrazy snu. Jest to pół-istnienie, pół-nicość, pół-wid, a pół-mara; jest to nakoniec szara granica między panteistycznym nieosobowym światem pomroki, a budzeniem się życia indywidualnego.

Wysoce tajemnicza i poetyczna chwila dla tego, kto ją umie uczuć i pojąć. Zabłąkanej w tych pustyniach leśnych, pod gorącem niebem Kalifornii, więc stęsknionej za krajem i rozkołysanej duszy mojej, wydała się ona jeszcze pełniejszą tajemniczych czarów i uroków. Tymczasem noc bladła i bladła, odległe przestrzenie z szeregami pni drzewnych stawały się coraz widoczniejsze dla oka; ranny ptak, dzięcioł, począł pukać w drzewo, jakby chciał mówić: «Puk! puk! wstawajcie, oto dzień robi się na górach i dolinach!» Wreszcie w przerwie dwóch gór ukazały się pierwsze blaski jutrzni porannej.

Leciuchna, przejrzysta, seledynowej barwy smuga wyciągnęła się nakształt pasem i włókien na wschodzie. Niebo całe było jeszcze chłodne,

ciemne i zimne, ale smuga rosła, rozlewała się coraz szerzej. Zwolna górny jej brzeg począł przemieniać się w blado-żółtawy szlak. Oko nie mogło uchwycić przemiany tonów, tak nieznacznie jedna barwa topniała w drugiej. Błękit, blade złoto i blada zieloność igrały z sobą przez chwilę, aż wreszcie wszystkie przesłoniły się niby leciuchną mgłą różaną. Wstawała jutrzenka: «różanopalca jutrzenka», jak ją nazywa Homer, śliczna, zaploniona, zalewająca góry i doliny radosnem światlem i zmieniająca na brylanty krople rosy, wiszące na liściach dębów. Była jakaś radość prawdziwa w tym dziewiczym, młodym jeszcze świecie, budzącym się do życia, z ochotą do życia i wiarą w życie. Ptaki poczęły śpiewać, kozy beczeć, psy skakać wesoło i biegać. Na wszystkich skłonach gór ozwało się zwykłe: «o ho! ho!» kuropatwich kogutów, zwołujących samice. My wszyscy byliśmy w doskonałych usposobieniach. Poważny nawet Sam śpiewał znaną pieśń amerykańską, w której co zwrotka powtarza się: «Hej ho, Mississipi, Mississipi *river!*» Wreszcie opatrzywszy broń, ruszyliśmy na wyprawę.

Zeszedłszy do kamiennego korytarza, puściliśmy się w górę potoku. Plesent i stary Ra-

mon, jako najświadomsi miejscowości, szli naprzód, drugą parę stanowiłem ja i Lucyusz, Sam zaś z Dżakiem zamykali pochód. Meksykanie wyruszyli jeszcze znacznie przed nami, jedni ku zachodniemu, czyli dolnemu, drudzy ku wschodniemu, czyli górnemu, biegunowi strumienia. Ci ostatni część tylko drogi mogli iść łożyskiem, dalej zaś, jak to wskazywały ślady, wdarli się na brzeg i przejechawszy wzgórze, około którego zaginał się strumień, skrócili sobie przez to znakomicie drogę. Celem ich było wedrzeć się w głąb gór jak można najdalej, aby w razie, gdyby zwierz chciał ujść w górę łożyska, przeciąć mu drogę. Plan tedy wyprawy, ułożony przez Ramona i Lucyusza, polegał na tem, aby kawalerya, zająwszy dwa ujścia doliny, napędziła zwierza na piechotę, znajdującą się w środku. Niedźwiedź mógł wprawdzie tak dobrze starać się ujść bokami, jak i łożyskiem, ale że boki doliny utworzone były przez sklony gór dość spadziste, a widne dla oka, zrzadka bowiem tylko zarośnięte dębami, w takim więc razie, ujrzelibyśmy go z pewnością. Zresztą Ramon, który był znakomitym traperem, utrzymywał, że niedźwiedź prawie napewno będzie się znajdował na jednem wzgó-

rzu, tworzącem zagięcie strumienia i wystającem niezmiernie stromo nad wodę. O trzy mile od granicy klemu Plesenta, Ramon począł uważnie przypatrywać się wązkiemu szlaczkowi piasku, pomieszanego z miką. Przez chwilę badanie to było bezskuteczne, nagle jednak stary Indyanin pochylił się i wykrzyknąwszy zcicha: *hugh!* ukazał nam głęboki i wyraźny ślad. Był on tem widoczniejszy, że we wgłębieniu zebrała się obficie mika, ślad więc błyszczał jak pozłocony. Było ich trzy, z tych dwa tylko wyraźne; potem znowu nikły na kamieniach. Swoją drogą, Ramon umiał je dojrzeć tam nawet, gdzieby kto inny ich nie podejrzewał. Dziwny widok przedstawiał ten starzec z bronzową twarzą a białymi włosami, wietrzący jak gończy pies, pochylający się co chwila i wykrzykujący raz poraz gardłowo: *hugh!* Wczorajszej nocy, gdy siedział w kucki przed ogniem, z łokciami opartymi na kolanach i mleczną głową wspartą na ręku, wydawał mi się zgrzybiałym prawie; dziś nozdrza jego były rozdęte i poruszały się szybko, jak gdyby chwytając wiatr, oczy zaś błyszczące biegały z prawdziwie indyjską ruchliwością, badając każdy złam skały przy łożysku, każdy krzak na skłonach gór i wreszcie

grunt pod nogami. Zbliżając się do owego wzgórza, na którem prawdopodobnie zwierz obrał stałą siedzibę, szliśmy coraz wolniej, a przytem tak cicho, że słyszałem doskonale szmer wody po kamieniach, pukanie dzięciołów na drzewach i nawoływanie się kuropatw górskich. Ranek był śliczny, słońce już wzeszło, powietrze, przesycone miodowym zapachem szałwii, sprawiałoby prawdziwą rozkosz płucom, gdyby nie to, że miejscami zatruwały je obrzydliwe wyziewy skunksów, czyli śmierdzieli amerykańskich, małych, czarnych zwierzątek, nader obfitych w tych górach. Straszliwy zapach, jaki wydają, nie jest niczem innem tylko nadmiarem piżma, a zatem substancyi, która w małej ilości atomów jest nawet wonna, ale w nadmiarze poprostu dusi. Dom, pod którym ukrywa się skunks, staje się absolutnie nie do mieszkania; zapach wchodzi nosem, gardłem, przepełnia płuca, sprawia krztuszenie się i wymioty. Nie znoszą go nawet psy; kury zaś, poczuwszy go, wpadają w zupełne omdlenie.

W ciągu naszego pochodu, trzy lub cztery razy natrafiliśmy na ów zapach, tak, że z największem wysileniem potrafiłem wstrzymać się od kaszlu. Doszliśmy wreszcie do owego wzgó-

rza, wystającego jakby trójkąt nad okrążającym je strumieniem. Nadzieja znalezienia na niem zwierza zmieniła się prawie w pewność, gdy stary Ramon ukazał nam tuż u jego stóp wielki kamień, porośnięty delikatnie ślizką warstwą mchu. Zwierz widocznie wdzierał się po nim na wzgórze i wdzierał się niedawno, mech bowiem wilgotny widocznie świeżo był pościerany, w kresach zaś, utworzonych przez ześlizgiwanie się straszliwych pazurów, błyszczała rosa nocna. Ramon, wskazawszy te ślady, wyszepnął cicho: „*Orso*“... — i zaraz potem rozdzieliliśmy się na dwie partye. Lucyusz, Sam i Plesent okrążyli wystający cypel, aby się wedrzeć na wzgórze z drugiego boku, my zaś poszliśmy wprost pod górę. Zarośla były tu tak gęste, że postępować naprzód można było tylko nadzwyczaj wolno. Nasza trójka, to jest Ramon, Dżak i ja, rozdzieliliśmy się także w ten sposób, że jeden od drugiego przynajmniej o czterdzieści kroków był odległy. Teraz zaczęło się prawdziwe polowanie. Całe wzgórze ciche było, jak grób; najbystrzejsze oko nie mogłoby dojrzeć nas, pełzaliśmy bowiem w zaroślach, ukryci nawet jeden przed drugim.

Od czasu do czasu tylko każdy podnosił

głowę, aby po drżeniu krzaków przekonać się, gdzie są jego towarzysze. W ten sposób raz ujrzałem jasną brodę Dżaka, drugi raz pałające oczy Ramona. Upłynęło dziesięć minut, kwadrans, a zrobiliśmy zaledwie kilkadziesiąt kroków pod górę. Trafiłem na miejsce, gdzie u stóp zarośli leżał obficie żwir: małe kamyki poczęły staczać się i szeleścieć, musiałem więc przyczaić się i czekać. Następnie poruszyłem się jeszcze ostrożniej. Upłynęło wreszcie z pół godziny. Poczynałem się trochę niecierpliwić. Cisza i cisza! Podniósłszy głowę, dojrzałem na prawo i na lewo lekkie drżenie zarośli: towarzysze widać szli naprzód. Przyszło mi do głowy, że gdybyśmy podnieśli okrzyk, zwierz, jeśli istotnie znajduje się w zaroślach, ukazałby się prędzej. Była to prawda, ale też jeśli się znajdował blizko wierzchołka, od którego my byliśmy jeszcze odlegli przynajmniej na sześćset jardów, w takim razie przebyłby go i skrył się przed naszemi oczyma, nimbyśmy zdołali uczynić połowę drogi. Zresztą niecierpliwość moja nie miała już być na zbyt długą próbę wystawiona. Upłynęło może jeszcze kilkanaście minut, gdy po drugiej stronie cypla huknął strzał karabinowy, potem rozległ się straszliwy ryk, po-

tem wysilony okrzyk: *Take care! take care!* Potem drugi strzał i trzeci. Zerwaliśmy się na równe nogi i biegli na złamanie szyi do cypla. Ramon, który był go najbliżej, dobiegł też najpierwszy. Widziałem go zdaleka, jak dobiegłszy, zatrzymał się i natychmiast przyłożył kolbę do twarzy. Potem buchnął strzał, i znowu dwa jeszcze, i znowu ryk, odtąd już nieprzerwany, i nawoływania: *Take care!* lub: *Come here!* Nakoniec przybiegliśmy na skręt, ja i najbardziej oddalony Dżak. Objąłem teraz okiem całą pochyłość drugiego boku. Wyżej stali dwaj Shrewsburowie tuż koło siebie i nabijali na gwałt karabiny, dalej zaś nieco stał Plesent, który mierzył spokojnie. Niedźwiedzia nie mogłem dojrzeć odrazu, po chwili jednak ujrzałem u stóp prawie wzgórza ogromną szarą masę, podobną do olbrzymiej kuli, wdzierającą się szybko na górę. Nie rozumiałem nic, co się stało. Spodziewałem się ujrzeć strzelców na dole, a niedźwiedzia u góry. Tymczasem stało się przeciwnie. Ale nie było czasu na tłómaczenia, wszystko bowiem, co opisuję, liczyło się na sekundy, nie na minuty. Plesent strzelił, szara masa wydała nowy rozpaczliwy ryk, ale wdzierała się dalej szybko. Wówczas wymierzyliśmy obaj z Dżakiem. Niedź-

wiedź zapadł na chwilę w zarośla, ale zaraz ukazał się na nowo. Wtedy strzelił Dżak. Po jego strzale zwierz porwał się na nogi, ale upadł w tył i stoczył się aż do potoku. Ogromne hurra! wyrwało się z naszych piersi. Sądziłem, że to już koniec, ale twardego życia potwór znowu się zerwał i począł, czepiając się pyskiem i pazurami krzaków, biedz na Shrewsburych. Bracia jeszcze raz dali ognia, my zaś z Dżakiem, posiadając czternasto-strzałowe karabiny, zwane «Henry-rifle», posyłaliśmy kulę za kulą. W tej chwili rozległ się tętent meksykańskich jeźdźców, którzy, galopując po przeciwległym, płaskim brzegu strumienia, wyli jak dzikie zwierzęta. Dwaj z nich, dopadłszy brzegu, przedzieleni od zwierza tylko strumieniem i niewielką przestrzenią skłonu wzgórza, zakręcili nad głowami straszliwe sznury, ale nim pętlice były rzucone, nowa salwa zakończyła dramat. Zwierz stoczył się jeszcze raz na strumieniu, ale już nie zerwał się więcej. Mimo to, gdy chciałem biedz ku niemu, Dżak zatrzymał mnie grzmiącem: *Stop!* Poczęliśmy schodzić po mału, wszyscy razem i z palcami na cynglach. O dziesięć kroków zatrzymaliśmy się gotowi do wystrzału. Zwierz leżał na brzuchu

z wyciągniętemi łapami i drgał jeszcze. Z pyska wypływał mu ogromny strumień krwi, od czasu zaś do czasu dawało się słyszeć chrapanie konania. Piasek i trawa, na których leżał, poszarpane były strasznymi pazurami, okrwawione wargi i nos zwierza powalane piaskiem, za który widocznie chwytał ze wściekłości zębami.

Lucyusz strzelił jeszcze raz, przyłożywszy prawie lufę swego «kentucky» do głowy zwierzęcia, poczem drgania ustały, cielsko zaś wyprężyło się nieruchomo. — *Enough!* (dosyć) — rzekł flegmatycznie Sam. Poczem zaczęliśmy oglądać nieboszczyka.

Podziurawiony był jak sito. Jedna kula trafiła w głowę tuż koło ucha, druga pod oko, nie licząc ostatniej Lucyuszowej i tych wszystkich, które miał w ciele. Nie był to zwierz tak olbrzymi, jak ten, którego widziałem w Cheyenne, na kolei Dwóch Oceanów, ale także jeden z największych w swoim rodzaju. Podłożywszy obie ręce pod jego dolną szczękę, zaledwie mogłem unieść trochę z ziemi ogromny łeb. Odchylałem mu także wargi, aby przypatrzyć się zębom. Siedziały na nich całe sople krwi już krzepnącej; łapy jego przednie uzbrojone były w pazu-

ry, przy których pazury naszych litewskich białoszyjników zaledwie na nazwę pazurów zasługują.

Szary niedźwiedź amerykański, na miejscu zwany *grizly*, po łacinie zaś *ursus ferox*, jest najniebezpieczniejszem zwierzęciem z rodzaju niedźwiedziowatych. Przenosząc ogromem i siłą największe gatunki europejskie, przewyższa je także dzikością, zuchwalstwem i okrucieństwem. Na ludzi dość rzadko lub prawie nigdy nie napada pierwszy, jednakże mało ich się obawia, i zdarza się, że nękany głodem, wdziera się gwałtem nawet do chat, lub szałasów skwaterskich. Spotkawszy człowieka, poczyna sapać gniewnie, małe jego oczy świecą wściekłością; zaczepiony zaś rzuca się natychmiast i ściga z zaciętością niesłychaną swoją ofiarę. Z powodu jednak swego ogromu i ciężkości, nie może wdzierać się na drzewo, jak to czynią niedźwiedzie europejskie. Życie jego tak jest twarde, że ugodzony kulami w głowę, może biedz jeszcze bardzo długo.

Jednem słowem, jest to spadkobierca w prostej linii niedźwiedzia kopalnego. Skłonni do chełpliwości Amerykanie szczycą się nim, opowiadając straszne wypadki z polowań i utrzymując sta-

nowczo, że ani afrykańskie lwy, ani indyjskie tygrysy nie mogą iść z nim w porównanie. Jakoż sądzę, że szary niedźwiedź przewyższa siłą te olbrzymie koty stref południowych, czy zaś polowanie na te ostatnie jest niebezpieczniejsze, dotychczas nie wiem.

Po przypatrzeniu się należytem martwemu potworowi, stary Ramon pozostał wraz z Meksykanami, aby zedrzeć skórę i poodcinać smakowite łapy, przyczem prosiłem, aby zachowano dla mnie kły i pazury, my zaś zawróciliśmy do chaty. Donna Refugio czekała już nas ze śniadaniem. Uważałem jednak, że twarz jej nie ożywiła się ani na chwilę podczas naszych opowiadań. Opowiadania te wyjaśniły mi niezrozumiałą okoliczność, dlaczego dobiegłszy do cypla wzgórza, ujrzałem niedźwiedzia na dole, a strzelców w górze, nie zaś przeciwnie. Była rzecz taka: Lucyusz, który pierwszy ujrzał zwierza, ujrzał go nad sobą: strzelił i ciężko ranił. Wówczas niedźwiedź rzucił się na niego natychmiast, jak burza; wówczas także usłyszeliśmy przeraźliwe wołania Sama: *Take care!* Jakoż Lucyusz zdołał uskoczyć w bok, niedźwiedź zaś, nie mogąc się zatrzymać, stoczył się aż do stóp góry. Na polowaniach trafia się

to często. Zwierz ten, mając tylne nogi cokolwiek wyższe od przednich, z niezmierną trudnością może biedz z góry. Najczęściej trafia się, że traci równowagę i nie zbiega, ale stacza się na głowę. Za to pod górę koń nawet uciec przed nim nie zdoła. Ten sam wypadek zaszedł i w ostatniem spotkaniu.

W godzinę po nas wrócił Ramon i Meksykanie. Po ich powrocie rozpoczął się prawdziwy koncert ujadania i wycia, psy bowiem zwietrzywszy skórę, podniosły taki gwałt, jakby ich własna skóra była zagrożoną. Tegoż dnia, który z powodu szczęśliwie ukończonej walki, uważaliśmy jako uroczysty, Salvadorowie wyprawili rodzaj niby turnieju, niby gonitw konnych. Po południu udaliśmy się wszyscy na obszerną płaszczyznę, zrzadka tylko zarośniętą dębami. Meksykanie wszyscy byli konno, w ręku zaś trzymali skręcone w koło lassa, czyli, jak je nazywają: *rietta*. Gdy owe gonitwy rozpoczęły się, nie wiedziałem, co mam więcej podziwiać: zręczność koni, czy też jeźdźców. Jeden z rycerzy udawał uciekającego i przytulał się do kulbaki tak, że głowa, ręce i nogi jego tworzyły jedną całość z koniem, o którą lasso nie miało się jak zahaczyć; drugi, kręcąc nad głową

straszne sznury i wyjąc, gonił przeciwnika, pragnąc go schwytać. Upatrzywszy stosowną chwilę, rzucał lasso, przyczem koń, lubo rozpędzony, zwracał na miejscu młynka i poczynał galopować w przeciwną stronę. Jeżeli lasso ześliznęło się, nie zaczepiwszy o uciekającego, wówczas ten z kolei stawał się goniącym i usiłował w ten sam sposób schwytać przeciwnika. Najczęściej jednak trafiało się, że sznur chwytał za głowę uciekającego. Jedynym wówczas sposobem, aby nie zostać ściągniętym z konia i zaduszonym, jest zwrócić szybko konia i galopować w ślad za tym, który lasso trzyma w ręku, doścignąć go i rozpocząć z nim walkę ręczną. Wymaga to niesłychanej zręczności i umiejętności kierowania koniem, jeździec bowiem, który trzyma sznur, umyślnie robi niespodziane zwroty, aby ściągnąć z kulbaki schwytanego.

Najzręczniejszym i najsilniejszym z Salvadorów okazał się Jezus (Hesus), trzydziestoletni barczysty Meksykanin, z czarną brodą i z prawdziwie orlem spojrzeniem. Rzut jego *rietty* nigdy nie był omylny, schwytany zaś, doganiał przeciwnika i zrzucał go z konia. Dał przytem dowód wielkiej prawdziwie siły, gdy dogoniwszy brata swego Doroteo, schwycił go jedną ręką

jak kawałek drzewa, ściągnął z kulbaki i przesadziwszy na swoją, puścił na ziemię dopiero u nóg naszych. Ten dowód siły obudził zazdrość Lucyusza, który, chcąc popisać się przede mną, wyzwał Jesusa, aby się z nim próbował. Jesus z początku nie chciał, wreszcie jednak zgodził się i wzięli się za bary. Po kilku sekundach młody *yankee* uniósł atletę meksykańskiego w górę i rzucił na ziemię, przyczem wybił mu rękę. Poprzednio jednak jeszcze odbywała się gonitwa z kogutem. Wyproszonego naumyślnie na ten cel u pani Refugio nieszczęśliwego ptaka zakopano lekko ze związanemi nogami w ziemię, tak, aby mu widać było tylko głowę i szyję. Potem kolejno każdy z *caballerów* odjeżdżał na kilkadziesiąt kroków, wypuszczał konia i, przelatując w największym pędzie koło koguta, starał się go uchwycić za łeb i wyciągnąć z ziemi. Po kilku takich próbach, kogut zdechł, a po kilkunastu głowa jego została w ręku któregoś z Salvadorów. Dowiedziałem się później, że zabawa z kogutem należy do ulubionych zabaw meksykańskich, i że raz do roku odbywają się podobne gonitwy z wielką uroczystością pod Los-Angelos. Zjeżdża wówczas na nie cała

ludność meksykańska i wielu yankesów z miasta i okolicznych ferm.

Wieczorem tego samego dnia przybyło do osady Plesenta trzech Indyan z dzikiego jeszcze zupełnie pokolenia Cachuilla, zamieszkałego z drugiej strony Santa-Ana. Twarze ich, koloru ciemno-czerwonego, były podobne do cygańskich. Na głowach nie mieli piór ani warkoczów, ale włosy ich spadały w grubych splotach po obu stronach głowy. Ubrani byli w mokasiny ze skór jelenich i pewien rodzaj koszul nieosłaniających piersi. Wogóle wyglądali raczej na żebraków, niż na wojowników, i w niczem nie przypominali mi Siouxów, których kilku widziałem na kolei Dwóch Oceanów. Nie było w nich ani tej obojętności, ani tej energii, ani dumy. Ciała ich przytem wydawały pewien przykry zapach, który szczególniej drażnił powonienie psów naszych. Ani jeden z tych trzech nie miał strzelby; uzbrojeni byli w łuki, strzały i toporki, obsadzone na rękojeściach z drzewa zwanego *hicoro*. Rozmawiałem z nimi z pomocą starego Ramona, żaden bowiem nie umiał ani po angielsku, ani po hiszpańsku. Biedacy ci powiedzieli, że głód panuje w ich wigwamach

i że idą do białych prosić, aby im dali co jeść.

— Czyż czerwoni wojownicy nie mogą zabijać jeleni i bitornów? — pytałem przez Ramona.

Na to U-wa-ka, starszy widać od innych, odrzekł:

— Odkąd deszcze spadły w górach, jelenie nie schodzą pić do źródła, czerwoni zaś nie mogą doścignąć ich na szczytach.

— A czy nie mają krów i owiec?

— Mieli je, ale zjedli, przytem wiele owiec zdechło im z braku wody.

— Czy rozeszło się całe pokolenie?

— Nie: zostały skwawy, starcy i dzieci, młodzi zaś poszli szukać pracy u białych.

Dałem im trochę tytuniu i wódki. Kupiłem także łuk i strzały, a raczej dostałem je w zamian za nóż. U-wa-ka pokazywał, jak się strzela z łuku i, oddaliwszy się na chwilę ze mną między dęby, przeszył strzałami kilka dzięciołów i błękitniaków. Próbowałem potem i ja, ale lubo pokazało się, że potrafię naciągnąć łuk daleko silniej od wygłodzonego Indyanina, jednakże strzały, które wypuszczałem, przechodziły o kilka łokci od celu, gdy tymczasem on nie chy-

biał prawie nigdy. Mając zamiar pomieszkać trochę w indyjskich wigwamach, pytałem: kiedy wojownicy wrócą napowrót z za gór. Odpowiedzieli mi, że za miesiąc.

— A czy mnie przyjmą?

— Przyjmą i cieszyć się będą. Brat biały będzie polował razem z czerwonymi w wąwozach, przyjedzie kiedy zechce, odjedzie kiedy zechce, będzie zasiadał u ogniska czerwonych, palił z nimi, i nikt z pokolenia Cachuilla nie podniesie na niego ręki.

Tymczasem Lucyusz, który słuchał zdaleka naszej rozmowy, zbliżył się i pytał:

— Jak to, chcesz pan mieszkać w ich trzcinowych namiotach?

— Tak jest.

— I nie obawiasz się?

— Czyżby mieli rzucić się na mnie?

— Nie, bo gdyby który z tych czerwonych dyabłów śmiał to zrobić, roztrzaskaj mu łeb w jego własnym wigwamie.

— Z pewnością to zrobię.

— *All right!* ale nie obronisz się pan innemu niebezpieczeństwu, to jest wszom. Ja — mówił dalej Lucyusz — znam ich z tego, i *by God!* gdybym miał dziś w kieszeni tyle dwu-

dziesto-dolarówek, ile każda z tych małp ma wszy w głowie, założyłbym bank we Frysko! (San Francisco).

Wyznaję, że słowa Lucyusza ostudziły trochę moją chęć pożycia między czerwonoskórymi, a nawet na razie zmniejszyły sympatyę do nich. Swoją drogą jednak biedacy ci zasługują pod każdym względem na litość. Pokolenia, zamieszkujące północne prerye Stanów, i pokolenia południowe, jako to: Apacze i Komencze, umieją się bronić przynajmniej, mają jeszcze jaką taką siłę oporu; ale Indyanie kalifornijscy dali już zupełnie za wygraną. Nikt o nich nie wie, mało kto o nich słyszał. Najlepszym tego dowodem jest, że nim udałem się w góry, bardzo wielu Kalifornijczyków zaręczało mi, że dzikich Indyan wcale już niema w Kalifornii. Jakoż są ich tylko szczątki. Ukryci w niedostępnych canionach, lub na pustych stepach, potomkowie potężnych niegdyś pokoleń, wiodą życie koczujące, trochę pasterskie, więcej myśliwskie, a po trochu także i żerujące. Nikt ich już tu nie prześladuje, bo nie zawadzają nikomu. Wpół ucywilizowani najmują się jesienią do winobrania, a następnie kupują czerwone materye lub przepijają zarobek w mieście; nieucy-

wilizowani przymierają często nawet głodem, wogóle zaś żyją z dnia na dzień, Bóg wie czem, tembardziej, że z tej strony San-Bernardino niema bawołów, stanowiących główny pokarm innych pokoleń.

Donna Refugio opatrzyła tych biedaków słoniną i fasolą, a że było już późno, odeszli więc między drzewa i pokładli się spać. Nazajutrz rano nie było ich już w osadzie.

Dzień jeszcze bawiliśmy u gościnnych Plesentów. Gospodarz pokazywał mi swoją pasiekę, która przynosiła mu znakomite dochody. Na polance, zarosłej rzadko dębami, stało na drewnianych podstawkach dwieście przeszło ulów w kształcie skrzynek malowanych na biało. W skrzynkach takich umieszczają się ramki, które pszczoły zarabiają woskiem i miodem. Ramek takich jest jedenaście. Wosku raz zrobionego nie zabierają nigdy, przez co pszczoły, nie tracąc czasu na robotę wosku, robią dwa razy tyle miodu. Ciekawym jest także sposób, jakim wydobywają miód. Robi się to za pomocą umyślnie na ten cel wynalezionej maszyny. Ramka wraz z woskiem i miodem wstawia się w cylinder i poddaje szybkiemu obrotowi, skutkiem czego miód, na mocy siły odśrodkowej,

wylatuje co do kropli. Nie gniecie się przytem ani jedna komórka woskowa. Po wypędzeniu miodu, ramkę wraz z woskiem wstawiają napowrót do ula, pszczoły zaś natychmiast poczynają je napełniać. Wydajność miodowa jest tu prawdziwie zadziwiająca: w najgorszych latach przewyższa ona pięciokrotnie wydajność, o jakiej słyszałem u nas. Tłómaczy się to tem, że naprzód pszczoły w ciepłym klimacie są dzielniejsze, a powtóre, że podczas gdy u nas zima trzyma je zamknięte w ulu przeszło pięć miesięcy, przyczem wychodzą ogromne zapasy miodu, tu pszczoły pracują prawie cały okrągły rok, zimą bowiem i latem stoki gór okryte są kwiatami. Miód tutejszy przewyższa także dobrocią, zapachem i przezroczystością nawet litewski lipiec.

Wogóle gospodarstwa pasieczne są tu prowadzone wcale nie na stary barciowy sposób lub w pniach, ale ze wszelkiemi ulepszeniami, jakie wynaleziono w czasach ostatnich. Utrudniony zbyt, z powodu braku dróg, nie pozwalał jak należy rozwijać się tej gałęzi gospodarstwa krajowego. Od chwili jednak, gdy wszyscy skwaterowie-pasiecznicy zawiązali «Towarzystwo kalifornijskich pszczelarzy», i gdy pro-

dukt swój postanowili wysyłać wprost do Liwerpoolu, bez pośrednictwa osób trzecich, ceny miodu natychmiast podniosły się, oczekują zaś, że w przyszłości będzie to jedna z najbardziej zyskownych gałęzi gospodarstwa.

XI.

Szkice amerykańskie.

Nie pamiętam, czym opisywał już pierwszą moją podróż z San-Francisco do Los-Angelos. Upłynęło od tego czasu ze sześć miesięcy. Kolej żelazna nie była jeszcze wówczas skończona, odbywałem więc drogę oceanem Spokojnym. Statek «Mohongo», stary weteran, kursujący niegdyś między Chinami a Kalifornią, pełni obecnie taką samą służbę między San-Francisco a San-Diego. Wydostawszy się z olbrzymiej zatoki San-Franciskańskiej przez tak zwaną Złotą Bramę (Golden-Gate) na ocean i przepłynąwszy koło skał Clif-Housu, słynnych z mnóstwa lwów morskich, płynęliśmy na południe, ciągle wzdłuż brzegów. Pogoda była prześliczna. Ocean Spokojny nigdy nie wydawał mi się bar-

dziej zasługującym na swą nazwę. Błękitna a gładka jak zwierciadło toń jego zlewała się łagodnie w oddali ze sklepieniem nieba. Czasem tylko, na owych dwóch błękitach niebios i morza, zaczerniała, nakształt chmurki, smuga szarego dymu, to jakiś parowiec pasażerski, przewożący ludzi i towary z wysp Sandwich do Kalifornii, wyrastał zwolna, jak gdyby z pod toni, na krańcu widnokręgu; czasem zabielał żagiel rybackiego skuneru. Czarne pobrzeżne skały wydawały się zdaleka jakby całkowicie pokryte jakiemś olbrzymiem robactwem, poruszającem się i pełznącem nakształt liszek, lśniących od wilgoci porannej. Były to lwy morskie. Niektóre z nich, za zbliżeniem się statku, rzucały w wodę swe cielska, pod których ciężarem fala rozbryzgiwała się w tysiączne rzuty; inne, zwłaszcza stare samce, podnosiły głowy i, otwierając paszcze, witały nas rykiem buhajów; mniejsze o połowę samice szczekały jak stada psów. Rój szarych i białych mew unosił się nad temi ruchliwemi skałami, a wyżej jeszcze świeciło gorące podzwrotnikowe słońce. Widziany zdala wysoki brzeg piętrzył się wyniosłemi urwiskami, a z poza ich szczytów wyglądały zielone wierzchołki drzew. Gdzie-

niegdzie strumień spadał białą jak mleko kaskadą z wysokości kilkudziesięciu stóp. Czasem mignęła chata rybacka, malutka, przylepiona jak chrząszczyk, albo jak skorupa ślimaka do skały. Słowem, był to śliczny krajobraz morski, pełen prostoty, słońca, powietrza i wody. Podziwiało go całe nasze towarzystwo: w kajutach na dole nie było nikogo. Wszyscy siedzieli na pokładzie. Na twarzach malowało się zadowolenie. Pogoda piękna, krajobraz piękny, morskiej choroby niema: stary «Mohongo» drży, jakby chciał wytrząść z siebie maszynę. Niech sobie drży! nie dbamy o to i płyniemy dalej. Takie usposobienie panuje wszędzie i na każdym statku w czasie pogody. Chorzy czują się zdrowsi, smutni weselsi. Jedziemy naprzód, za nami ciągnie się szeroki szlak zbitej kołami statku piany, nad nami ciągną mewy. Bawimy się, rzucając im ogryzki jabłek. Za każdym ogryzkiem rzuca się ich kilkanaście w wodę, powstaje krzyk, hałas i zamieszanie: jedna porywa za ogryzek i krzyczy z radości, inne ze złości, jeszcze inne wymyślają sobie zapewne wzajemnie, aż tu nowy ogryzek zatacza łuk ku morzu, i znowu toż samo, a my śmiejemy się, jakby z najdowcipniejszej krotochwili. Takie to są zaba-

wy podróżników. Po chwili inna nowość: «Co to takiego? co to takiego?» — wołają na okręcie. Oto żółw morski zaplątał się w koła, statek zwalnia, majtkowie wyciągają nieszczęśliwego żółwia, a stewart okrętowy zapewnia, że zjemy go w wieczornej zupie. Odpowiadamy ogólnem «hurra!» Niektórzy mają ochotę się kąpać; inni, a między nimi i ja, słuchają opowiadań podróżnika i kłamcy. Indywiduum podobne znajduje się na każdym okręcie. Ma papierowy kołnierzyk, kapelusz z wystrzępionem koliskiem i trzyma ręce w kieszeniach. Zapewnia nas, że niezadługo ujrzymy latające ryby. Wezwawszy na pomoc zoologiczne wspomnienia, przerywam mu nieśmiało i pytam: czy nie sądzi, że latające ryby znajdują się tylko w wodach znacznie bliższych równika?

— Tak? — pyta niezmieszany wcale, przymrużając jedno oko: — a widziałeś pan kiedy węża morskiego?

— Nie.

Wszyscy w śmiech, a bywalec odnosi nade mną stanowcze zwycięstwo, ponieważ niema już mowy o rybach latających, ale o wężu morskim, którego nie widzieliśmy oba.

Jak żyję, nie widziałem tak wesołego towa-

rzystwa. Z lada powodu śmiejemy się wszyscy, jak dzieci. Oto np. z pod pokładu wychyla się kosooka głowa Chińczyka, rozgląda się głupowato po pokładzie i woła przez nos: *Jeh-hang! Jeh-hang!* Na pokładzie niema żadnego Jeh-hanga, ale natychmiast wszyscy poczynają wołać: *Jeh-hang!* na całym okręcie rozlega się *Jeh-hang!* na wszelkie pytania usłyszysz jedyną odpowiedź: *Jeh-hang!* Radość ogólna. Myślę, że dostałem się do czubków, ale i sam nie jestem lepszy od innych.

Schodzimy na obiad. Dają nam rosół żółwi z pieprzem, wołowinę z pieprzem, słowem: sam pieprz. Nawet Amerykanom go za dużo. Jedni się śmieją, drudzy gniewają na kucharza, trzeci wołają ironicznie na stewartów, że za mało pieprzu. Tymczasem w sali zapala murzyn lampy, obiad się kończy, i wychodzimy znów na pokład.

Na pokładzie zmiana: słońce zachodzi. Niebieskie i białe światło dnia wsiąka w siebie stopniowo złoto i czerwoność; powietrze świeże, trochę słone, przejęte nawskroś zdrowym zapachem ropy morskiej. Ocean, który przez cały dzień był bez zmarszczek, staje się jeszcze gładszy. Po prostu — usypia. Nagle jednak to

szklane przezrocze zaczyna jakby pękać w długie rysy. Rysy te w kształcie łuków lub krętych linii, to pojawiają się, to nikną; nareszcie powód wyjaśnia się: nad powierzchnią wody spostrzegam czarną trójkątną pletwę, potem drugą i trzecią. Podróżni pokazują je sobie palcami: to żarłacze (rekiny) krążą koło statku.

Wkrótce jest ich coraz więcej. Nie wiem: igraszka-li to, lub gonitwa miłosna? Czasem potworny grzbiet razem z pletwą wychyla się do połowy z wody. Widać go doskonale w czerwonych promieniach zachodu, w których krople wody, spływające ze skrzeli, wyglądają jak krople krwi. Ruchy potworów szybkie, niezmiernie ciche, nie burzą wody, pletwy rozcinają gładką powierzchnię, tworzą się rysy, które się zagładzają natychmiast, i wszystko się uspokaja.

Jeden z nich przewraca się nagle na bok, nie dalej niż o trzydzieści kroków od statku. Widzę dokładnie, przez przezroczystą wodę, jego szczękę górną, znacznie wystającą naprzód, i dolną, umieszczoną jak gdyby w szyi. Na okręcie krzyczą: «Dostrzegł coś i rzuca się!» — ale potwór niknie spokojnie pod wodą, a za nim kryją się po kolei inne.

I znowu tylko widać gładką, spokojną toń.

Żarłacze nie oddaliły się jednak, wpłynęły tylko na złoty, niezmiernie świetny szlak, usłany przez zachodzące słońce na wodzie. Na szlaku tym nie możemy ich dostrzedz, bo oczy nasze mrużą się pod nadmiarem blasku. Ale słońce zajdzie wkrótce. Promienna jego głowa już tylko do połowy wygląda z wody. Po chwili już tylko złote warkocze leżą na fali: głowa zasunęła się za toń daleką. Jeszcze minuta: słońce zaszło.

Co za cudowna chwila teraz! Szeroka smuga wody w kierunku słońca świeci jeszcze, lśni, błyszczy się, mieni i gra barwami, jakoby oświecona z pod spodu. Ta droga złocista ginie na krańcu widnokręgu w morzu z purpury. Nie umiem, nie umiem tego wszystkiego opisać! Mimowoli pytasz się: czy ta droga nie prowadzi do jakiej krainy zaziemskiej, gdzie wszystko jest piękne, nieśmiertelne, gdzie miłość jest wieczna, gdzie poetyczna cisza i upojenie wiecznie panują?... Nie wstydzisz się marzeń i poetycznych uniesień. Chciałbyś płynąć tam, goniąc za światłem jak ptak. W owych blaskach migają jakieś wysepki.

— Co to za wysepki? — pytam majtka.

— Endżel-ailand (Angel Island), Anielska wy-

spa. I doprawdy, nietylko wyspa, ale wszystko tam było anielskie.

Co za przepych barw! Całe niebo płonie czerwono, druga zorza pali się w oceanie. Czarne skały nadbrzeżne, połyskujące wilgocią, wyglądają jakby oblane krwią. Mewy pławią się w świetle czerwonem. W tem wszystkiem tkwi ogromna jakaś prostota. Na górze niebo, w dole morze, kawał skalistego brzegu i jeden okręt na niezmiernych przestrzeniach, jedna mała czarna łupinka i więcej nic. Bo też niema nic prostszego nad majestat.

Mijamy Endżel-ailand. Zorze gasną. Na purpurowe jeszcze, ale mroczące się już tło wchodzi jedna gwiazda, druga. Na przednim maszcie rysuje się w sieci lin czarna postać majtka. Po chwili zapalają błękitną latarnię; machina świszcze, zawijamy do jakiegoś portu. Statek idzie bardzo powoli, ale coraz więcej skręca ku brzegom. Tymczasem zapada noc. Jeszcze raz słychać świstanie. Skały nadbrzeżne rozstępują się nagle, tworząc obszerną, lekko pochyloną ku mor.. dolinę, w której widać kępy drzew, jakby nasze dąbrowy; dalej białe domki, światła w oknach, śpiczasta wieża rysuje się na mrocznem tle nieba, bliżej warf, zbudowany z palów

drewnianych, a na nim ludzie z latarniami. Majtkowie krzyczą zwykłe żałosne: ooo—ho! ciągnąc linę. Daje się uczuć wstrząśnienie. To statek otarł się już o palisadę. Z warfu łapią rzuconą linę i okręcają ją koło słupa. Jeszcze jedno słabsze wstrząśnienie: stajemy.

— Co to za miasto? — pytam.

— Monterey.

Wagony, czekające na warfie, zabierają pasażerów i towary. Okręt wyładował co miał wyładować, potem odpoczywamy jeszcze godzinę. Warf wyludnia się powoli; nasz pokład także. Podróżni, którzy dalej jadą, idą spać do kajut. Wkrótce zostaje na pokładzie tylko dwóch: jakiś ksiądz meksykański i ja. Ksiądz chodzi spokojnym krokiem i, spoglądając na gwiazdy, mówi pacierz; ja siedzę na ławce i patrzę na światła, migające zdala w oknach domów.

Skończywszy pacierz, ksiądz zbliża się do mnie.

— *Bon ta noche!* (piękna noc) — mówi zcicha, jakby się obawiał spłoszyć jej urok.

Skłaniam głowę na znak potwierdzenia, ale nie mam ochoty do rozmowy, więc ksiądz powraca do modlitwy:

— *Ave, stella...*

Z lądu wiatr przynosi zapach kwitnących pomarańcz i heliotropów, a woń ta miesza się z zapachem morskim. Powoli światła w oknach gasną, ksiądz idzie spać. Na pokładzie zostaje sternik, kręcący kołem na przedzie statku, dwóch majtków i ja. Po godzinie wyruszamy naprzód. Mijamy pasmo gór, leżące tuż nad brzegiem. Dalej pobrzeże rozplaszcza się i ciągnie się ławicami piasku aż do Santa-Inez. W tej części step przeważa nad górami. O ile mogę dojrzeć w nocy, kraj jest pusty, i nie widać ani drzew, ani mieszkań ludzkich. Siedzę na pokładzie, bo mi się nie chce iść spać, a nie spędza mnie z mego nocnego siedliska ani wiatr, ani zimno. Noc jest cicha, ciepła, pogodna; ocean ciągle gładki. Księżyc rzuca nań jedną smugę światła, potężna gwiazda Venus drugą. Coraz cieplej. Powoli przychodzi mi na myśl kraj rodzinny. U nas teraz zima, robi się właśnie ranek. Wioski zasypane śniegiem; dachy białe, sine dymy z kominów wznoszą się prosto ku górze; po ogrodach gałęzie, zasute szronem, rysują się nieruchomo i milcząco; przeď chałupami skrzypią zamarzłe żórawie studzienne, a stada wron łopotaniem skrzydeł i zwykłem «kra! kra!» budzą tych, co jeszcze śpią. Obraz zna-

ny wam dobrze, ale z nad brzegu drugiego oceanu patrzy się nań przez ów wiersz Mickiewiczowski:

». . . . ty jesteś jak zdrowie!«

Przesiedziałem na pokładzie całą noc. Potem jeszcze upłynęła doba, i wreszcie zawinęliśmy do Santa-Monica, skąd kolej idzie do poblizkiego Los-Angelos.

* * *

Ściśle mówiąc, tej pierwszej podróży nie miałem zamiaru opisywać, ale pióro wzięło na kiel. Właściwym jednak moim celem jest opisanie odwrotnej drogi, to jest z Los-Angelos do San-Francisco, a raczej do środkowej pustyni kalifornijskiej Mohawe.

Kolej, łączącą Los-Angelos z San-Francisco, skończono za mego poprzedniego pobytu na południu. Obyczajem przyjętym w Ameryce, pierwszy pociąg szedł darmo. Skorzystałem z tego, aby po drodze obejrzeć całą prawie długość Kalifornii, a zwłaszcza pomienioną pustynię. Obok Los-Angelos ciągną się też same góry Santa-Ana, które widać z Anaheimu, i które już opisywałem. Kolej żelazna idzie bardzo blizko nich. Po kilkunastu milach stepu, zarosłego tra-

wą, dzikimi słonecznikami, a czasem na ogromnych przestrzeniach kaktusami, bezdrzewna okolica kończy się, a zaczynają się góry. Przeszedłszy przez długi ciemny tunel, pociąg idzie tuż przy wejściach do canionów, porosłych dębami, platanami, drzewem bobkowem i pomniejszą dziczyzną górską. W niektórych miejscach obfitość wody wytwarza tak wybujałą roślinność, że oko na parę kroków w głąb nie zdoła jej przeniknąć. Z okna wagonu widziałem mnóstwo rozmaitej cennej zwierzyny, jako to: bażantów, kuropatw, wiewiórek ziemnych i zajęcy. Ziemia naokół była pusta. Prócz nielicznych stacyi kolejowych, nigdzie ani domku, ani namiotu. Caniony, jak mnie zapewniano, są tylko w połowie zajęte przez pół-dzikich skwaterów meksykańskich, hodujących bydło; co najwyżej jednak, wypada jeden skwater na cały canion, ciągnący się czasem kilkanaście, a czasem i więcej mil w głąb gór. Najlesistsze lub zupełnie bezleśne caniony stoją puste, służąc za przytułek tylko stadom jeleni, niedźwiedziom i kuguarom. Miejscami trafiliśmy na pyszne krajobrazy. Oto np. rzeka przecina linię kolei; oba jej brzegi pokryte tysiącznemi drzewami w kwiecie. Wierzchołki drzew łączą się z sobą w gó-

rze, zwoje dzikiego wina, liany, dzikie bluszcze przeskakują z jednej strony na drugą, tworząc zieloną galeryę nad wodą. Gdzieindziej znów strumień spada z wysokości kilkunastu stóp, tworząc kaskadę. U stóp kaskady łąka porośnięta grupami sekwoi, które tu niezbyt olbrzymie, dalej na północ, w miejscowości zwanej Wielko-drzewiem (Big-Trees), dochodzą do czterystu stóp wysokości, a trzydziestu średnicy [1]), i są najpotężniejszymi na świecie przedstawicielami świata roślinnego. Takie łąki z ich trawą wiecznie zieloną, z drzewami i żywą wodą, zdają się być stworzone na fermy rolnicze lub pasterskie, lub nawet na wille, które pięknością mogłyby rywalizować z włoskiemi. Zwolna jednak okolica staje się coraz dziksza. Roślinność niknie stopniowo, ustępując miejsca skałom. Brak wody nie pozwala tu rozwinąć się jakiemukolwiek życiu organicznemu. Pociąg poczyna biedz wśród amfiteatrów nagich skał, które, ciągnąc się półkolami wzdłuż drogi, zdają się nie mieć końca. Widać tylko skały i nie-

---

[1]) Drzewo zwane *Tather of the foress* ma 450 stóp długości a 112 obwodu. Inne: *The Grizzled Giant* 30 stóp średnicy

bo. Spojrzysz na prawo lub na lewo w gardło canionu, widzisz kamienną, pustą galeryę; przed tobą kamienna galerya, za tobą także. Pociąg leci jakby wśród umarłych miast. Gwałtowny oddech lokomotywy, hurkot kół, zdwojony echem, są jedynymi głosami wśród panującej tam ciszy. Tu ludzi nigdy nie będzie; niema i żadnych innych żywych istot: pusto, głucho!

— Czy to Mohave? — pytam jadącego ze mną skwatera.

— Nie — odpowiada. — Mohave to pustynia.

— A toż nie pustynia?

Tymczasem upływa godzina, dwie, droga nie zmienia się. Ciągle też same amfiteatry skalne, też same półkola skał, jedno podobne do drugiego: kamień, kamień... Porzucam więc okno wagonu, tembardziej, że poczyna być ciemno.

Nazajutrz rano pociąg zatrzymał się na małej stacyi, tuż nad granicą Mohave. Stacyę tę składało kilka domów, stojących bez osłony na nagim stepie, więc zwykły pomalowany bronzowo domek kolejowy, pospolita buda z czerwonych desek z napisem: «Bakery!» i druga takaż sama zatytułowana: «Saloon», co znaczy poprostu: szynk. Dowiedziawszy się, że z tej właśnie stacyi można się dostać na pustynię,

ciągnącą się wzdłuż linii kolejowej, wysiadłem tu z zamiarem pozostania przez dni kilka. Nie wiedziałem wprawdzie, gdzie będę spał, ale spać można w tym klimacie i pod gołem niebem. Zresztą, tyle już nocy spędziłem w ten sposób, że jedna więcej nie czyniła różnicy. Za to napisy: «Bakery» i «Saloon» upewniły mnie, że w najgorszym razie dostanę sucharów i piwa. Jakoż i tak było. Gdy pociąg odszedł, poznajomiłem się z urzędnikiem kolejowym, nazwiskiem Brown, który zaprosił mnie na nocleg. Powiedział mi także, że do właściwej pustyni, a raczej do lasu palmet, jest jeszcze cały dzień drogi konno. Na stacyi nie było koni, ale o parę mil dalej mieszkał Indyanin, niegdyś przewodnik kupieckich wozów przez tę część pustyni, mający kilka mustangów, które łatwo było nająć. Wskazano mi kierunek, w którym miałem szukać jego chaty, więc nie mając nic lepszego do roboty, udałem się tam niezwłocznie. Jakoż po godzinie drogi stepem, gołym zupełnie jak klepisko i popękanym, zobaczyłem małą dolinę, a raczej wklęsłość, w której środku stała śpiczasta chata indyjska i korall, w którym chodziły konie. Było w tej dolinie trochę zieloności, albowiem woda zaskórna, wydobywająca

się w postaci kałuż na wierzch, pozwala rosnąć trawie i małym krzakom, podobnym do naszych sumaków. Zresztą nie rosło ani jedno drzewo. Koło chaty sterczały łodygi kukurydzowe. W trójkątnym otworze wigwamu siedział stary Indyanin, obdzierając ze skóry zabite wiewiórki ziemne, których kilka już obłupionych suszyło się na słońcu.

Nie łatwo było mi się z nim porozumieć, mówił bowiem mieszaniną poprzekręcanych wyrazów hiszpańskich, angielskich i indyjskich. Na szczęście, na wszelkie moje kwestye i pytania odpowiadał stale jednym frazesem w złej hiszpańszczyźnie: *Dos pesos!* (dwa dolary). Pytałem: jak daleko do lasu? — odpowiadał: *Dos pesos;* pytałem: czy i sam pojedzie, czy mi tylko da konia? — on znów: *Dos pesos.* Przytem pokazywał mi dwa palce, jakby dla lepszego objaśnienia. Zgodziłem się wreszcie na *dos pesos!* ale pod warunkiem, abyśmy wyjechali natychmiast. Indyanin nie miał ochoty. Chciało mu się to spać, to jeść; dopiero gdy spostrzegł, że niema rady, począł siodłać konie, mrucząc pod nosem zapewne przekleństwa na upartą «bladą twarz». Przygotowania do drogi trwały jednak krótko. Nowy mój przewodnik przytroczył do siodła

spory worek z kukurydzą i drugi na wodę. Naczerpnął jej nawet natychmiast, ale że była mętna i ciepła, kazałem ją wylać, tembardziej, że mogliśmy nabrać studziennej na stacyi. Powstała o to między nami kłótnia. Pero («Pies!» — takie było imię Indyanina) utrzymywał, że nie mamy potrzeby jechać na stacyę, że to z drogi i t. d., ale ja miałem potrzebę, nie życząc bowiem sobie jeść jego suszonych obrzydliwych wiewiórek, chciałem zakupić sucharów i czego można było dostać.

Kłóciliśmy się zawzięcie, nie chcąc jeden drugiemu ustąpić; ale ponieważ konie były już przygotowane, siadłem więc na jednego i zwróciłem go ku stacyi, oświadczywszy Perowi, że może robić, co mu się podoba. Rad nierad, musiał jechać za mną. Po drodze, gdyśmy galopowali jeden obok drugiego, wpadł w jeszcze gorszy humor, oświadczył bowiem, że muszę mu dać *mucho* (bardzo wiele) tytuniu i wódki, ja zaś odpowiedziałem, że wcale nie muszę i że, jeśli nie będzie robił co zechcę, nie dam nic. Musiałem tak postąpić, aby się nie pozwolić zawojować. Wiedziałem także, że Pero żałował, iż zażądał ode mnie tylko dwóch dolarów, ale na wszelkie te żale było za późno.

Przybyliśmy wreszcie na stacyę. Urzędnik Brown, zobaczywszy mego Pera, powiedział mu, iż jest wielkim złodziejem, i że nikt inny, prócz niego, nie mógł ukraść połciów słoniny, które przed kilku dniami zginęły. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Pero chciał koniecznie stacyę wyminąć. Ale prosiłem, aby dano mu pokój, tembardziej, że nie było jawnie świadczących przeciw niemu dowodów; sam zaś Pero gorąco zapewniał, że jakkolwiek słoninę musiał zjeść *pero* (pies), ale nie *big* (wielki) Pero, tylko mały *pero* na czterech nogach. Dla zakończenia sprawy, posłałem go po wodę, sam zaś poszedłem do «Bakery». Dostałem tam nietylko sucharów, ale tartej szynki, a przedewszystkiem ogromny pęk bananów, wiszących na grubej łodydze. Po południu ruszyliśmy ku pustyni. Obejrzałem się w kierunku gór, przez które przejeżdżałem wczoraj. Zaledwie majaczyły na widnokręgu, jakby błękitne pasma mgły i obłoków. Przed nami rozciągał się bezbrzeżny szary step, pochylający się nieco w kierunku zachodnim ku oceanowi. Na całej tej ogromnej przestrzeni wzrok nie odkrywał ani jednego drzewa. Grunt nagi, szary, popękany w wielkie kręte szpary, wyglądał jakby wyschłe ło-

żysko wód, popaczone od promieni słonecznych. Nizkie też położenie tych płaszczyzn pozwalało mi przypuszczać, że były one niegdyś dnem wód. Step miejscami zupełnie równy, miejscami znów falował się lekko w obszerne, ale ledwie widoczne dla oka wklęsłości i pagórki. We wklęsłościach rosły szare, kruche, przepalone słońcem łodygi jakichś wysokich roślin, które budzą się do życia zapewne tylko w czasie deszczów wiosennych. Zdawało się, że cała ta okolica powinna być zupełnie martwą, jednakże tu i owdzie spostrzegłem ślady życia zwierzęcego. W kępach łodyg szeleściły małe stada ptaków o czarno-błękitnych piórach, ze świetnie czerwonemi piętnami na skrzydłach. Boki owych małych wyniesień i wklęsłości gruntu pokryte były kopcami piesków ziemnych; czarne wiewiórki smyrgały do jam przed końmi. Widocznie ziarna owych wysokich łodyg dostarczają po karmu tym zwierzątkom, za napój zaś służy im rosa nocna.

Przezroczystość powietrza, lub gra promieni słonecznych, odbitych od gruntu, wytwarza tu majaki *(fata morgana)* i sprawia, że liczne drobne przedmioty, widziane zdaleka, olbrzymieją w oczach. Stada wiewiórek, siedzących na tyl-

nych łapkach, brałem za stada kujotów, lub innych jakich większych zwierząt. Przejeżdżając koło kopców piesków ziemnych, widzieliśmy grzechotniki wygrzewające się na słońcu, albowiem węże te i pieski trzymają się zawsze razem. Konie strzygą uszyma, przechodząc koło grzechotników, nie okazują jednak wielkiej trwogi. Przeciwnie, gdy jeździec zabija węża, rodowity mustang zatrzymuje się dobrowolnie przed każdym spotkanym następnie.

Jechaliśmy już parę godzin, a widnokrąg nie zmieniał się prawie zupełnie. Skończyła się tylko falistość gruntu, a przed nami legł step równy, szary, jednostajny, po którym błądziłem oczyma, gubiąc je w nieskończonej dali. Była godzina czwarta po południu. Słońce piekło całą ulewą promieni. Rozpalony grunt odbijał żar słoneczny; konie spotniały. Step ten poczynał nużyć mnie i męczyć, bo to nie nasz step ukraiński z kurhanami, ze swoją tradycyą poetyczną. Na Ukrainie wiatr niesie, jakby z drugiego świata, odgłosy «Ałła» i «Jezus Marya!» i huk samopałów i rżenie koni, słowem — tam step ma swoją żywą duszę; tu cisza, martwość, bezduszność. Ten kawał ziemi to tylko głupia i bezmyślna krzywda życiu. Tamten mówi i śpiewa

cały, jak szeroki i długi, ten niema co powiedzieć; tamten buja, kołysze się, porusza, żyje tam jeźdźcy «w trawach pławią się po pachy», tu bezwstydna ziemia odkrywa nagie, popękane łono. Dla oczu nic, nic dla ucha i dla wyobraźni; jedno wielkie nic — nie znajduję innego określenia.

Było coraz goręcej. Z upragnieniem wyglądałem zachodu słońca, który miał przynieść z sobą chłód nocny i chłodniejszy jeszcze powiew od oceanu. Zstępowało też zwolna słońce ze szczytu niebieskiego sklepienia ku krańcom. Las palmet, do któregośmy dążyli, ani nawet poczynał majaczyć na widnokręgu; jakoż Pero zapewnił mnie, że nie dojedziemy do niego przed nocą.

— Co «blada twarz» chce robić na Mohave? — spytał po chwili.

— Chcę ją widzieć — odrzekłem.

— Mohave bardzo zła. Tam niema nic.

— I tu niema nic.

— Tu są wiewiórki. «Blada twarz» może zabić wiewiórkę i zjeść ją. Na Mohave trzeba umrzeć z głodu.

— Czy Pero był tam już wiele razy?

— Pero bywał przewodnikiem białych przez

tę część, która jest na drodze między wielkiemi miastami, ale w stronie, od której słońce wschodzi, Pero nie był nigdy, bo tam pustynia nie ma końca.

— Skądże więc Pero wie, że pustynia nie ma na wschodzie końca, jeśli tam nie był nigdy?

— Pero słyszał to od bardzo starych ludzi, którzy opowiadali mu, że za «umarłym lasem» są w stronie, w której słońce wschodzi, wielkie góry. Pero był nawet w nich, ale w innem miejscu. Są to bardzo złe góry, bo niema w nich trawy, ani zwierząt. Za górami jest taż sama pustynia i wielka woda, a za wodą znowu pustynia, która już niema końca.

— Jak «blade twarze» nazywają wielką wodę?

— Tulare.

Gdy potem sprawdziłem opowiadania mego przewodnika, przekonałem się, że, jak na Indyanina, wcale nie był złym geografem. Pustynia zajmuje rzeczywiście cały środek Kalifornii. Stepy, dotykające oceanu, biegnąc na wschód, zmieniają się zwolna w bezpłodną piaszczystą równinę. Pasmo Coast-Range, albo Maunt-Diablo, będące kością pacierzową nadbrzeżnego kraju, odcina część pustyni bliższą oceanu, do której właśnie

zdążaliśmy, od dalszej, ciągnącej się ku Sierra-Nevada. Wielkie jezioro Tulare leży w tej drugiej części, która, skręcając ku południowi, omija kończyny Sierra-Nevada, przerzuca się przez pomniejsze pasma, rozrzucone dalej na wschodzie, obejmuje część stanu Nevada, Arizonę, Nowy Meksyk, zachodnią część Texasu, północne części trzech meksykańskich prowincyi: Sonory, Chihuahua, Cochahui, i kończy się dopiero u stóp gór Skalistych.

Tak samo, jak pustynie arabskie, perskie, a nawet i Gobi, są tylko przedłużeniem Sahary, tak samo Mohave, Gila, Colorado i t. d. są jednym systemem pustyń, jednem ogromnem płaskowzgórzem, czasem poprzerywanem rzekami, czasem powyginanem w góry, ale jednolitem pod względem pustynnego charakteru płaszczyzn. Piaszczyste równiny, kupy kamieni, rumowiska gór, miejscami step, latem goły i popękany: oto ogólny charakter tych ogromnych przestrzeni, prawie zupełnie jeszcze bezludnych, a po największej części wrogich dla organicznego świata. Wiosną jednak, po deszczach, jest chwila życia w tym martwym świecie. Przestrzenie piaszczyste porastają drobną trawką, rozpadliny skalne zielenią się; step, zwykle nagi, przystraja się tysią-

cami kwiatów. Trudno opisać, co to za przepyszna tęczowa chwila zmartwychpowstania dla tych stepów. W marcu i kwietniu widziałem całe przestrzenie, po kilkanaście mil rozległe, porośnięte kwieciem barwy żółtej, podobnem do tulipanów. Bywa tu tak prawie zawsze, że pewna roślina, znalazłszy najodpowiedniejsze dla siebie warunki, zagłusza wszystkie inne kiełki w zarodzie, tępi je i panuje nieograniczenie. Skutkiem tego, za królestwem tulipanowem np. zaczyna się błękitne, znów kilkunastomilowe królestwo dzwonków, dalej purpurowe gwoździków, dalej żółte, białe, różowe, pstre lub Bóg wie jakich kwiatów. Wszelkie odcienie barw mają tu swoje przestrzenie. Są to poprostu morza kwiatów. Ale falowanie tych mórz, kołysanych wiatrem, krótkotrwałe. W końcu maja step zmienia już swą barwistą różnowzorą odzież na jednostajną żółtą, a raczej żółto-zwiędłą. W czerwcu ziemia pęka. Kwiaty musiały od marca do czerwca urosnąć, rozkwitnąć, pokochać się, ożenić, wydać nasionka. Nadchodzi czas — zwiędnąć... Co zwiędło, pada na ziemię; nasionka zasuwają się w szpary, gdzie ciemność chroni je od spalenia, wszystko zaś, co zostało na powierzchni, zmienia się w proch, w popiół; następnie wiatr

rozgania one prochy w cztery strony świata, i step staje się zupełnie nagi.

Są jednak przestrzenie, na których nawet wiosną po deszczach, nic nie porasta. Piasek pokrywa się trawą tam tylko, gdzie zaraz pod nim leży warstwa urodzajna; ale np. na Gila piasek jest miałki, ruchliwy i niezmiernie głęboki, zatem zupełnie bezpłodny. Na stepie miejsca pokryte drobnym żwirem także pozostają zawsze nagie, a toż samo się dzieje gdzie ziemia jest skalista, lub jakby pociągnięta szkliwem, powstałem z przepalonego od promieni słonecznych piasku. Taki grunt przeważa na Mohave, a raczej w części jej, położonej bliżej oceanu. Na piaskach jednak rosną w tych miejscach tak zwane palmety, które Pero nazwał lasem umarłym, a które mieliśmy nazajutrz świtaniem zobaczyć.

Tymczasem stanęliśmy na nocleg. Pero uwiązał konie przy zaostrzonym kołku, który zatknął w szczelinę ziemną, potem dał im pić i jeść, a gdy poczęły chrupać twarde kukurydzowe ziarna, i my wzięliśmy się do naszych zapasów. Napiwszy się wody z wódką, Pero począł żuć swoje wyschłe na słońcu obrzydliwe wiewiórki, ja zaś raczyłem się bananami. Po posiłku, gdy

zresztą ściemniało zupełnie, podłożywszy kulbaki pod głowy, położyliśmy się spać. Tymczasem gwiazdy weszły na widnokrąg, a wielki czerwony księżyc ukazywał się zwolna na skraju stepu. Potem, blednąc coraz bardziej, żeglował wyżej i wyżej po niebie. Zrobiło się tak widno, że na kilkadziesiąt kroków mogłem dostrzedz czarną siatkę rozpadlin. Zauważyłem przytem, że w niektórych miejscach ziemia tak była zbita, twarda, że promienie księżyca odbijały się od niej, jak od polerowanej powierzchni. Zresztą nie było na czem oprzeć wzroku, ani uwagi. W dali tenże sam step. Miejscami znowu nieznaczne wklęsłości, oświecone niepewnem światłem księżyca — i nakoniec takież same kępy łodyg, w których wiatr smutno szeleścił.

Ta pustka i bezprzedmiotowość ma jednak swój urok, ale to dziwny jakiś urok bez treści. Tu, mówiąc poetycznie, smutna Dyana, a prościej księżyc, zstępuje z jednego miejsca, wstępuje na drugie, jakby szukając pilnie jakiegokolwiek przedmiotu zatraconego w pustkowiu, jakby chcąc znaleźć coś, dla czegoby warto świecić. Czasem powracało mi wrażenie, że to, co widzę naokół, jest dno morskie, nad którem niedawno przesuwały się fale, a następnie wyschną-

wszy lub uciekłszy, zostawiły po sobie pustkę. Po chwili znowu: że to nierozbudzony jeszcze do życia szmat ziemi, który, wynurzywszy się z bezdni po potopie, czeka dopiero na stworzenie. Tak istotnie musiała wyglądać niegdyś ziemia, zanim strzeliły z niej przedpotopowe paprocie i grzyby. Byłem jak gdyby cudem przeniesiony o setki tysięcy lat w tę chwilę mistycznego snu ziemi, po którym dopiero ocknęły się drzemiące jej siły.

Ale po chwili głosy pustyni rozbudziły mnie z marzeń. Pogrzebowe płaczki stepów — kujoty, zaczęły jęczeć i skomleć w poblizkich kępach suchych łodyg. «Jesteście i tu na tem pustkowiu?» — pomyślałem sobie ze zdziwieniem. Ale kujoty są wszędzie. W stepach żyją wiewiórkami, a wiewiórki nasieniem owych suchych roślin. Na stepach, jak i wszędzie, życie polega na tem, że silniejszy zjada słabszego, ten jeszcze słabszego, i tak bez końca; kujoty przytem kradną co mogą pastuchom, podróżnym. Spotkawszy silniejsze jakie zwierzę, jak np. niedźwiedzia lub kuguara, chodzą za nim trop w trop, licząc na resztki jego uczt. Są to stepowi pieczeniarze. Ciągną za jaśnie wielmożnym Pazurowiczem i żyją z jego łaski. Za to, gdy myśliwiec ste-

powy postrzeli chlebodawcę, a ten gdzieś zdechnie w skałach, kujoty zjadają go także, co w ich języku konwencyonalnym nazywa się zapewne: «uchronieniem zwłok od profanacyi». Trafia się także, że gdy podróżny, zmęczony dziennym upałem, zaśnie nocą, nie roznieciwszy ognia, wilczki owe zbliżają się do niego, obwąchują go starannie, a chociaż tchórzostwo ich nie pozwala im rzucić się nawet na śpiącego, kradną mu natomiast wszystkie zapasy, nawet z pod głowy. Co do mnie, chodziło mi głównie o noc spokojną. Nasłuchałem się już wprawdzie tyle tych grobowych skomleń, że nie doznawałem, jak pierwej, uczucia jakiegoś zabobonnego strachu; zawsze jednak ogarniała mnie pod ich wrażeniem taka niewymowna nuda, taki smutek i zniechęcenie, że wolałbym sto razy słyszeć ryk kuguarów. Tym razem, jak zwykle, próbowałem zasnąć i nie mogłem, więc zniecierpliwiony, wyciągnąłem z za pasa rewolwer i wystrzeliłem w powietrze. Konie szarpnęły za sznury, kujoty umilkły na chwilę, najbardziej jednak przeraził się Pero, który poprzednio usnąwszy smacznie, zerwał się teraz na równe nogi.

— Co «blada twarz» robi? — spytał z przestrachem.

— Nie mogę zasnąć, — odrzekłem — i jeśli Pero nie odpędzi kujotów, będę strzelał całą noc.

Pero, ochłonąwszy, pomyślał chwilę.

— Czy «blada twarz» ma krzesiwo?

— Mam.

— Pero ma także, niechże więc «blada twarz» idzie, zapali najbliższą kępę, a Pero zapali dalsze.

Myśl wydała mi się doskonałą, natychmiast więc przystąpiliśmy do jej spełnienia. Gdym się zbliżył do kępy, dwa kujoty wypadły pośpiesznie z łodyg i poczęły umykać co tchu w step. Skrzesałem ognia z łatwością, ale łodygi nie chciały się sypać. Nałamawszy co najdrobniejszych ździebeł, począłem pracować płucami. Skry chwytały łatwo za zeschłe resztki liści, ale wypaliwszy ognisty rąbek, gasły. Tymczasem wprawniejszy Pero uwinął się daleko prędzej. W chwili gdym jeszcze dmuchał bez nadziei, od strony Pera zabłysło światło, a wkrótce krwawa łuna rozdarła ciemność. Obejrzawszy się, ujrzałem naprzód nasze konie, czarno rysujące się na stepie, dalej oświeconą czerwono sieć szczelin ziemnych, płonącą kępę i In-

dyanina, podobnego do szatana, tańcującego koło ognia.

Rozbudzone szpaki z wrzaskiem i łopotem zlatywały się ze wszystkich stron do światła; wysokie łodygi buzowały się ogromnym płomieniem; wyschłe źdźbła trzęsły się przez chwilę w objęciach złotego płomienia i topniały w nim natychmiast. Ponad tem wszystkiem świeciło blade światło księżyca, walcząc i łamiąc się na krańcach oświeconej przestrzeni z różowymi odblaskami ognia. Pero, wyrwawszy kilka płonących łodyg i pochyliwszy je ku wiatrowi, biegł zapalać następną kępę, a za nim biegł i gasnął w ciemnościach czerwony warkocz iskier. Zapaliłem nakoniec i ja swoją, potem dwie jeszcze poblizkie, a gdy zapłonęło ich z dziesięć, wróciliśmy do koni. Kępy zagasły wkrótce, ale mieliśmy zapewnionych parę godzin spoczynku, bo przestraszone kujoty uciekły aż poza granicę światła. Jakoż zasnęliśmy obaj natychmiast, ale za to Pero obudził mnie nazajutrz, prawie jeszcze przed brzaskiem. Przez pół śpiąc, wlazłem na siodło, a gdy koń puścił się zwykłym meksykańskim, regularnym i kołyszącym galopkiem, usnąłem znowu na kulbace, tak dobrze, jak w łóżku. Nie wiem, jak

długo spałem, ale gdym się rozbudził, był już dzień biały. Konie zwolniły biegu, a choć ruch ich był zawsze niby galopem, był jednak tak powolny, że można było nadążyć mu piechotą. Rozejrzałem się wokoło. Twardy step ze swoją siecią rozpadlin i kępami suchych łodyg znikł. Jechaliśmy teraz po gruncie, pokrytym niezmiernie drobnym piaskiem, podobnym do popiołu, miękkim i ruchomym. Znikły także już po raz drugi falistości gruntu. Jak mogłem okiem sięgnąć, rozciągała się przed nami i obok nas równina szara, gładka jak stół. Sklepienie niebieskie, przechodząc na krańcach w odcienie szare i siwe, zdawało się z nią zlewać niedostrzeżenie. Naokół nie rosło ani jedno źdźbło trawy, nic i nic, tylko niebo w górze, popielata, wygładzona toń piaszczysta na dole. Pero podniósł się w kulbace, zatoczył bronzową ręką łuk, ogarniający widnokrąg, i rzekł:

— Mohave.

Jechaliśmy jeszcze z pół godziny, nie dostrzegając naokół ani jednego przedmiotu. Nicość założyła tu sobie królestwo. Nietylko zmysły, ale i myśl czuje tu jakiś brak przygniatający. W krainie przedmiotów myśl, wyleciawszy z głowy, zwykła wracać jak pszczoła obła-

dowana miodem wrażeń; tu wraca tylko zniechęcona, czcza, zmęczona i złamana. Umysł musi tu dać wszystko z siebie, od zewnątrz nie dostaje nic. Słowo «pustynia» szumi w głowie, a nie przyobleka się w żadne kształty, w żadne określone wyobrażenia. Jak zabłąkany wędrowiec, konający z pragnienia, woła: «Wody!» — tak mdlejąca wyobraźnia woła tu ostatkiem sił: «Przedmiotów!»

Nakoniec jednak zamajaczyło coś na północy, niby ciemny szlak, niby zgęstniała mgła, chmura, niby wstęga lasu. Owo «coś» rysuje się coraz wyraźniej i wyraźniej na błękicie widnokręgu, wychyla się coraz dokładniej ze zmąconej oddali; zbliża się, wypełnia, zwiera się w kształty. Pero znów wyciąga bronzową rękę i mówi:

— Las umarły.

— A, chwała Bogu! Umarły czy żywy, niech będzie pozdrowiony!

Długie, na ćwierć łokcia, meksykańskie ostrogi wbijam w boki mustanga: kudlaty łeb jego zaczyna kołysać się żywiej. Pędzimy, jak gońce wojskowi; las wyrasta w oczach: jeszcze pół godziny — i jesteśmy na jego krańcu.

* * *

Co to są palmety? co mówi o nich botanika? — nie wiem. Z drugiej strony, jeśli powiem, że są to drzewa poprostu tragiczne, będzie to określenie o tyle przynajmniej dalekie od botaniki, o ile blizkie Wiktora Hugo. A jednak nie cofam wyrażenia. Pero, prosty Indyanin, pomimo iż się na stylu nie znał, nazywał jednak ten las lasem umarłym. Cisza, śmierć, nieruchomość: to pierwsze wrażenia, jakie ten las sprawia. Palmety nie są wcale podobne do innych drzew. Każde drzewo ma pień, konary, grubsze i cieńsze gałęzie, liście, słowem — cała rozmaitość linii, kształtów i barw. Palmety nie mają tego wszystkiego. Palmeta jest to jednostajny szarego koloru pień, rozdzielający się w górze na dwa, rzadko trzy, równie grube, tępo ucięte ramiona. Drzewo to wygląda poprostu jak człowiek, który wyciągnął z rozpaczą ręce do nieba. Pień od samego dołu, a ramiona aż do samej góry pokryte są jakby grubą szczeciną, nie odstającą od kory i zbitą w jeden pokrowiec, który okrywa całe drzewo. Wszystkie kształty grube, nieruchome, niby wyciosane niezgrabnie, robią wrażenie przedmiotów kamiennych. Cały las wydaje się lasem skamieniałym, ot np. lasem olbrzymich koralów, uśpionych

gdzieś na dnie morskiem. Na szarym piasku, na którym rosną palmety, nie rośnie nic więcej, niema nigdzie ani trawki, ani kwiatka, ani śladu wody. Nie usłyszysz tam gwaru ptactwa, żaden owad nie toczy tych pni nieruchomych. Jak okiem dojrzeć, wznosi się pień za pniem, jakby posępna kolumna za kolumną; całe szeregi martwe, milczące, bezduszne. Prawdziwie umarły las. Z każdego innego drzewa życie wypowiada się to drganiem gałęzi, to zielonością, to kwiatem, to zapachem; znać, że drzewo żyje, oddycha, roni balsam żywiczny, rozkwita, rodzi; między palmetami zaś przesuwałem się jak wśród nagrobków, sterczących na jakim wielkim cmentarzu. Błądziłem niby duch, konie zostały u brzegu, a Indyanin, jak drugi duch, poważny i milczący, szedł za mną. Wiatr nie wiał. Szary piasek obsuwał się bez szelestu pod naszemi stopami; słońce wzeszło wysoko na horyzont i sypało na nasze głowy żar ognisty. Cisza śmiertelna panowała wszędzie. Krótkie cienie kładły się na piasek od drzew, znacząc jego szarą powierzchnię czarnemi plamami. Szliśmy głębiej i głębiej. Mimowoli przyszedł mi na myśl wiersz Słowackiego:

»Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy niegdyś w elizejskie bory...«

Uroczysty ów pochód przerwał dopiero głos Indyanina, mówiąc cicho:

— «Blada twarz» nie może przejść umarłego lasu.

— Czy daleko ciągnie się na wschód?

— Słońce trzy razy przeszłoby od gór do wielkiej wody, zanimby «blada twarz» mogła przejechać umarły las na najszybszym koniu.

— Nie chcę go też przejść całego, ale niech Pero powie mi jeszcze: czy też przebył go kto aż do gór dawniej?

— Dawniej? Nie. Czerwoni nie mieszkali tu nigdy, bo na Mohave niema wody i zwierząt. Koń i jeździec musi tu umrzeć. Czerwoni mieszkali niżej (tu ukazał ręką w kierunku Los-Angelos), w górach, gdzie rosną drzewa, i co wiosna jeździli na bawoły na drugą stronę. Tam step pokryty jest trawą.

— A teraz nie jeżdżą już?

— Teraz ich niema.

Nastała chwila milczenia.

— Czy to byli bracia Pera? — spytałem po chwili.

— Nie.

— Jakże się zwali?

— Mohave.

— A bracia Pera?

— Cahuijja.

— Ci są jeszcze?

— Wigwamy ich stoją rozrzucone w górach na południu, ale niewiele jest już wigwamów. Dawniej mieszkali aż do granic Mohavów. Tam, gdzie dziś stoją kamienne wigwamy bladych twarzy (Los-Angelos), tam było wielkie pole (obóz). Ale dziś Cahuijja nie mieszkają już tam oddawna.

— Gdzie są teraz?

Bronzowa ręka po raz trzeci wyciągnęła się w kierunku gór, a głos uroczysty odrzekł:

— Tam, z duchami ojców.

Powieść była prawdziwa. Niegdyś wspomniane pokolenia żyły obok siebie, ale żyły, jak zwykle, w ciągłej wojnie o terytorya myśliwskie. Mohavowie wyginęli prawie zupełnie w tych zapasach, a Cahuijja osłabli i prędzej czy później także wyginą. Byłem potem w ich wigwamach, daleko na południowych kończynach Tamiscalu i Santa-Ana. Nie żyją już w jednem wielkiem obozowisku, ale rozproszeni w rozmaitych miejscowościach. W wigwamach, w któ-

rych spędziłem dni parę, było wszystkiego dwadzieścia siedem głów męskich, prócz kobiet i dzieci. Żyją bardzo nędznie, bo jakkolwiek zwierzyny wielka jest w tamtych stronach obfitość, nie mają jednak broni palnej, albo też taką, która jest nic nie warta. Z łuków, wyrobionych z tęgiego drzewa, strzelają dość celnie, ale strzały nigdy prawie nie zabijają większego zwierzęcia odrazu, na ptactwo zaś jest to polowanie trudne i mozolne. Podczas gdy myśliwy, uzbrojony w strzelbę, strzelając np. do kuropatw żerujących po ziemi [1]), zabija po kilkanaście sztuk odrazu, z łuku można zabić zawsze jedną tylko. Jedzą też ci Indyanie wszystko: wiewiórki, pieski ziemne, kujoty, dzikie koty i co się zdarzy. Gdy zabiją niedźwiedzia lub wielkiego jelenia, jest to uroczystość dla całego obozowiska. Śmielsi wyprawiają się na ciągi bawołów aż za San-Bernardino, skąd czasem przywożą zapasy suszonego mięsa, ale też często giną, pomordowani przez dzikich i bitnych Apaszów i Komenczów. Wogóle w Kalifornii, z powodu braku bawołów, stan Indyan, nie dających się nagiąć do uprawy roli, jest bardzo nędzny.

---

[1]) Kalifornijskie kurki strzela się siedzące, nie w lot.

W czasie winobrania wszyscy prawie dorośli mężczyźni ciągną ku brzegowi morskiemu, ku okolicom zamieszkanym, i wynajmują się do robót, ale za zarobione pieniądze kupują fraszki, a przedewszystkiem wódkę. Prawo zabrania wprawdzie pod wysokiemi karami sprzedawać Indyanom gorące napoje, ale prawo dość często bywa bezsilne. Liczni fermerowie, którym się wino nie opłaca, pędzą z niego, sekretnie przed akcyźnikami, wódkę, i ci sprzedają ją Indyanom. Byłem raz świadkiem, jak po ukończeniu robót u zamożnego fermera, nietylko pracującym Indyanom nic się już nie należało, ponieważ wybrali, pod postacią napitków, wszystko naprzód, ale nie było ani jednego, któryby nie pozostał dłużnym na mniejszą lub większą kwotę pracodawcy. Tak dzieje się prawie wszędzie. Czas winobrania jest karnawałem dla Indyan, po którym następuje post aż do przyszłego lata. Kredytu przytem nie mają nigdzie, ponieważ nie odznaczają się uczciwością; każdy więc fermer, wszelkie naddatki udzielone czy to wódką, czy pieniędzmi, uważa za stracone raz na zawsze; dlatego wszyscy starają się już z góry przy układach strącić je z ceny robocizny. Bawiąc kilka dni między Cahuijjami, mogłem, patrząc

na ich codzienne życie, zbadać jako tako ich charakter. Niestety, nie znalazłem w nich, prócz pozorów, ani jednego z tych szlachetnych przymiotów, jakie cechują bohaterów Coopera. Naprzód życie ich, wśród brudów nie do uwierzenia i wśród robactwa, przed którem wreszcie uciekłem, może przejąć tylko wstrętem; powtóre, w każdym ich kroku znać demoralizacyę, cechującą rasy ginące. Są leniwi, wiarołomni, kłamcy, a wreszcie tchórze. Jeśli nie kradną i nie rozbijają, to tylko dlatego, że drżą przed straszliwym lynchem, z którym poznajomili ich skwaterowie.

Nieraz zdarza się, że skwater, któremu coś zginie, sam jeden przyjeżdża do obozowiska i sam jeden wśród wszystkich mężczyzn dopełnia poszukiwań i wymierza sobie sprawiedliwość. Biedni ci pół-dzicy są przytem niezmiernie łakomi na wszystko, co nie jest ich własnością. Mój «bowie-knife», rewolwer, strzelba, słowem wszystko aż do psa, toporka i worków, było przedmiotem ustawicznej ich pożądliwości. Jeden przez drugiego starał się ode mnie coś wymanić. Czasem pochlebiano mi rozmaitemi nazwami, czasami ten i ów zuchwalszy oświadczał, że «blada twarz» musi mu darować ten

lub ów przedmiot, ale jedno surowsze spojrzenie przywoływało tchórzliwego zuchwalca do porządku. Niemniej wstrętne jest postępowanie ich z kobietami. Mężczyzna poluje tylko, a gdy nie poluje, leży pod wigwamem w śmieciach, nic nie robiąc; kobieta zaś, często jeszcze z dzieckiem na plecach, zamkniętem do szyi w lubianej kobiałce, spełnia najtrudniejsze roboty, za co otrzymuje wymysły i szturchańce. Mąż żonę, ojciec córkę oddaje tu pierwszemu lepszemu przechodniowi za byle co: za kawał drutu, scyzoryk lub starą kamizelkę. A jednak te dziewczyny z płcią miedzianą, o czarnych, ogromnych i łagodnych oczach, bywają w chwili rozkwitu nieraz bardzo przystojne. Trafia się, że samotni biali skwaterowie biorą je za żony i żyją z niemi szczęśliwie. Niektóre z nich nabierają pewnej ogłady i pewnych wiadomości. W zeszłym liście wspomniałem pół-indyankę, Donnę Refugio, która była tak wykształcona, jak mało Amerykanek średniej klasy. Później spotykałem i czyste Indyanki, umiejące czytać, pisać i posiadające daleko więcej wiedzy od swoich białych mężów. Wszystkie przytem są doskonałemi matkami.

Los tych, które wychodzą za białych, jest, w porównaniu do losu skwaw indyjskich, praw-

dziwie godny zazdrości. Jakkolwiek małżeństwa takie nie bywają najczęściej uprzednio legalizowane, stają się jednak takiemi później, na mocy prawa, orzekającego, że mężczyzna, który żył z kobietą wolną lat trzy, ma uważać ją jako prawnie poślubioną, że zatem nie wolno mu się żenić z drugą, że w razie opuszczenia jej musi myśleć o jej utrzymaniu i t. p. Wogóle zresztą w Ameryce formy kościelne nie mają żadnego znaczenia, urzędowe zaś daleko mniej, w stosunku do faktów spełnionych, niż gdzieindziej. Tu nie potrzeba pośrednictwa praw, aby mężczyzna uważał kobietę, z którą żyje, za prawowitą swą małżonkę. Przytem trzeba być chyba tu na miejscu, aby poznać dokładnie, jak idealnym mężem jest każdy rodowity Amerykanin. On w swej żonie czci swój *home*, t. j. swoje ognisko domowe, swoją pozycyę obywatela, ojca dzieciom, swoją godność osobistą, słowem całego siebie, bez względu na to, czy żona jego poślubiona jest przez pośrednictwo księdza, urzędnika, lub bez pośrednictwa, czy jest biała, żółta lub miedziana. Szacunek ten dla kobiet zdaje się tkwić głęboko we krwi tej rasy, sam zaś w sobie tak jest bijący w oczy i potężny, że udziela się nawet emigrantom, Niemcom i Irlandczykom, któ-

rzy w «Deutschlandzie» i «Irishlandzie» inaczej na te stosunki patrzeć przywykli.

Wracając do Cahuijjów, kilkodniowy pobyt mój między nimi, mimo licznych ich wad, zostawił mi jednak pełne współczucia dla tych biedaków wspomnienie. Współczuję im z tej prostej przyczyny, że są nieszczęśliwi. Wojny w Kalifornii niema już z czerwono-skórymi, a prawdę rzekłszy, wojny wytępienia nigdy nie było, pokolenia bowiem tutejsze nie odznaczały się ani takiem męstwem, ani zaciętością, jak pokolenia terytoryów stepowych. Biali nie dopuszczają się na nich żadnych gwałtów, przeciwnie jak na północy, gdzie, w chwili gdy to piszę, wre zacięta walka nie tylko między Siouxami a białymi, albo w Ajdaho (Idaho) między strasznem pokoleniem «Przeklótych nosów» a wdzierającymi się w ich posiadłości pionierami. Tam wodzowie: «Siedzący Byk» *(Sitting Bull)* i «Biały Ptak» *(White Bird)*, ubroczyli już po rękojeście swe wojenne siekiery we krwi mężczyzn, kobiet i dzieci; tam między skalpami, zdartymi z głów białych, powiewa u pasa Siedzącego Byka długowłosy skalp generała Custera i wszystkich jego żołnierzy; tu o skalpach nikt nie słyszał, wszędzie cisza i spokój, a jednak nieubłagany palec

cywilizacyi ściera i te spokojne pokolenia z powierzchni ziemi. Może to nieuniknione, może konieczne, a jednak jest w głębi natury ludzkiej jakieś poczucie głębszej sprawiedliwości, któremu dzieje się w ten sposób krzywda; więc mimowoli w imię tego uczucia pragnie się nieraz powiedzieć: *goddam!* na ową cywilizacyę, co dla słabych i ciemnych jest takim przewodnikiem, nauczycielem, jakim byłby wilk dla owiec.

Wracam do umarłego lasu. Gdy cienie palmęt zniknęły prawie zupełnie, oznaczając południe, Pero odszedł dać jeść i pić koniom, a ja zostałem sam, i znowu wzrok mój błąkał się wśród szeregów umarłych pni. Badałem pokład piasku, chcąc odkryć jakiekolwiek ślady zwierząt i ptaków, ale szara, sypka powierzchnia gładka była, jakby wczoraj jeszcze przesuwały się ponad nią wody. Szedłem coraz dalej w głąb tem śmielej, że wyciski stóp moich były niby nicią Aryadny, mogącą w każdej chwili wyprowadzić mnie z tego labiryntu. Widok nie zmieniał się wcale: też same szeregi pni, też same rysujące się ciężko kamienne kontury i ten sam grobowy spokój. Dziwna to, szczególna pustynia, w której najdoskonalszym wyrazem pustki, śmierci, ciszy jest to, co powinno ją natchnąć życiem, t. j.:

drzewa. Są to też widma drzew. Doprawdy, nie wiem, czy nawet afrykańska Sahara, lub pustynie arabskie przejmują takim smutkiem i pognębieniem, czy uderzają oczy podobnemi wrażeniami martwoty i odrętwienia, jak Mohave. Tam, czasem przynajmniej, zazieleni się oaza, czasem na piaszczystych wzgórzach zarysują się na tle zorzy wieczornej biblijne kształty wielbłądów i jeźdźców zapatrzonych w niebo; tu palmety sterczą zawsze bezduszne, straszne, milczące.

A jednak i Mohave ma teraz swoje odgłosy, przerywające wieczną ciszę. Wyszedłem właśnie na kraniec lasu do Pera i koni, gdy usłyszałem ten odgłos z pustyniowej oddali. Z początku był to niby szmer cichy, potem coraz głośniejszy, bliższy; stopniowo zmieniał się w łoskot, potem usłyszeliśmy bicie dzwonu, potem świst, a raczej ryk pary. Pero wpatrzył się w dal smętnych kolumn i rzekł:

— Wielkie wozy białych.

Tymczasem odgłos zbliżył się, doszedł do zenitu, i nagle ujrzeliśmy pociąg, wypadający z lasu. Dziwny to był widok na tej pustyni! Tłoki machiny, widziane z daleka, poruszały się z szybkością, jakby nogi jakiegoś potworu; paszcza jego ziała kłębami dymu. Była w tem jakaś

niepojęta siła, jakaś wściekłość; cały pociąg wydawał się jak olbrzymie zwierzę, goniące naoślep za łupem. Nie biegł, ale rwał naprzód, jak wicher albo huragan. Przeleciał nakształt jakiegoś piekielnego korowodu, dysząc, dzwoniąc i hucząc, wpadł na równiny stepowe i leciał dalej, aż znikł wreszcie w stepach, w kierunku Los-Angelos.

— Biali nie lękają się Mohave! — ozwał się Pero.

I miał słuszność. Kto wie, co za lat kilka lub kilkanaście stanie się z tymi obszarami i z samym umarłym lasem?... Kto wie, czy biali nie wytną drzew i nie osiądą tu, gdzie żadne stworzenie mieszkać dotąd nie śmiało?... Może olbrzymią siłą poroztrącają wschodnie góry i, wydobywszy jak Mojżesz drzemiącą w głębi skał wodę, sprowadzą o setki mil ożywcze jej strumienie na piaszczyste obszary?... A wtedy dzisiejsza pustynia kołysać się będzie falami zbóż wszelkich, palmety ustąpią miejsca gajom prawdziwych palm, pomarańczom, figom, gwar ludzki zamąci ciszę panującą obecnie. Cóż powstrzyma tę niepohamowaną rasę «bladych twarzy» w jej pochodzie naprzód przez pustynie, stepy i lasy dziewicze? Dziś, gdy to piszę, Mohave w całej

swej szerokości i długości przestała już być zaklętym krajem, o którym Indyanin tylko podawał Indyaninowi błędne wieści. Kolej południowa oceanu Spokojnego (Southern Pacific Railrod) do Los-Angelos dawno już skończona. Z Los-Angelos jedna linia biegnie przez Anaheim, dalej na południe ku San-Diego; druga, skręcając na wschód, przechodzi całą Mohave, przerzuca się przez góry San-Gabriel i śnieżyste San-Bernardino; za górami i za Agua-Caliente znów zstępuje na pustynię i kończy się aż w forcie Yuma, na granicy Kalifornii, Arizony i Meksyku, niedaleko od ujścia Colorado.

Kalifornia słusznie chlubi się budową tych linii, przyrównywając trudy i zwyciężone przeszkody do trudów i przeszkód, jakie musieli łamać inżynierowie, prowadzący wielką kolej «Dwóch Oceanów». I słusznie. Może nawet łatwiej było budować na chłodnych płaskowzgórzach Ajowy, Nebraski, Wyominga i Utah, niż w tych bezwodnych pustyniach, w których żar słoneczny dochodzi do przeszło stu stopni [1]), i w których przez dziesięć miesięcy w roku nie pada ani jedna kropla deszczu. W wielu miej-

[1]) Fahrenheita.

scowościach, w których miały stanąć stacye, nie można było wcale dokopać się wody. Im posuwano się dalej, tem przeszkody stawały się większe. Miałki jak popiół piasek nie trzymał się pod pokładami: wiatry rozdmuchiwały nasypy. Za pustynią nastąpiły niebotyczne szczyty San-Bernardino, dalej jeziora suche, i znów jeszcze bezpłodniejsza pustynia. Tysiące białych i Chińczyków pracowały od rana do wieczora ze zwykłym amerykańskim gorączkowym pośpiechem, który największych przedsięwzięć nie lubi na lata rozkładać. Roboty wreszcie skończono. Fort Yuma został połączony z San-Francisco i nowe kraje tak dla górnictwa, jak i dla kolonizacyi otwarte.

Wszystko to tem godniejsze uwagi, iż kolej ta nie jest dziełem całych Stanów Zjednoczonych, ale samej tylko Kalifornii. Wprawdzie wszystkie koleje są tu w rękach prywatnych kompanii, ale gdy akcyonaryusze na linię «Dwóch Oceanów» rekrutowali się istotnie od oceanu do oceanu, akcye południowej drogi rozchodziły się przeważnie tylko w Kalifornii, mającej sześćset tysięcy mieszkańców.

Ale tu wszystko idzie prędko. Mógłby ktoś powiedzieć, że też wszelka przedsiębierczość pry-

watna, mając pod każdym względem rozwiązane tu ręce, więcej znajduje pola, niż gdzieindziej. Z tem, jako z faktem uznanym, sprzeczać się nie będę, zauważę jednak, że tu, w Ameryce, taż sama energia, która w rozwoju swym nie znosi żadnych ograniczeń, umiałaby wyzyskać wszelkie okoliczności, aby usunąć to, coby jej na drodze stawało.

Inne pytanie jest: czy takie koleje, prowadzone przez kraje puste, do jakichś placówek cywilizacyi, jak np. fort Yuma, opłacają się przedsiębiorcom? — ale i na to pytanie niepodobna inaczej odpowiedzieć, niż twierdząco. Przedewszystkiem są to przedsięwzięcia obliczone na lata, na przyszłość. Arizona np. jest krajem dziś jeszcze prawie pustym, ale przedsiębiercy liczą na to, że przestanie być pustym, gdy kolej ułatwi do niego drogę. Wiedzą dobrze, że bogactwa mineralne tego kraju, niewyczerpane kopalnie srebra ściągną mnóstwo górników z całych Stanów; że za górnikami pójdą handlujący, za tymi kolejno rolnicy; że powznoszą się miasta, powstanie przemysł, a w końcu prace i nakłady aż nadto obfity plon przyniosą.

Jednem słowem: w Ameryce koleje otwierają nowe kraje. Przytem zachodzi jeszcze jedna oko-

liczność. Oto, rządy stanowe, w chęci popierania tak pożytecznych przedsiębierstw, nadają kolejom ogromne przestrzenie gruntów, drogom przyległych. Następnie, gdy kolonie wychodźców przybywają z Europy, z zamiarem osiedlenia się w Nowym-Świecie, oczywiście wolą nabywać ziemie kolejowe, niż wszelkie inne, naprzód bowiem można je nabyć tanio, a powtóre ziemie te, leżąc wzdłuż linii, mają zapewnioną łączność z wielkiemi ogniskami handlowemi, a tem samem i zbyt swoich produktów. To też zarządy kolejowe sprzedają rokrocznie setki tysięcy akrów koloniom niemieckim, irlandzkim, duńskim, szwedzkim, norweskim, a nawet i polskim. Koloniści, osiadając gromadnie po kilkadziesiąt i więcej familii, śmiało zapuszczają się w nieznane strony, nie lękając się ani Indyan, ani odległości, byle znaleźć ziemię urodzajną, dostatek wody i drzewa. Z czasem też dochodzą do zamożności i prowadzą życie spokojne. W ten sposób, na pustyniach Wielkiego Zachodu powstają miasta, które przez swą odległość stanowią jakby zawiązki państw nowych; w ten sposób także ściąga się ludność w krainy puste, a «terytorya» zmieniają się zwolna w stany.

Stan taki rzeczy trwa do dziś dnia. Czytel-

nicy słyszeli zapewne o licznej i groźnej dla Galicyi i Poznańskiego emigracyi wieśniaków do Ameryki. Ludność ta wieśniacza, a zatem rolnicza, narażoną bywa częstokroć po przyjeździe na wielką nędzę po miastach; dlatego też istnieje w niej powszechne dążenie do osiadania na koloniach. Dążność ta objawiła się ze szczególną siłą w ostatnich czasach. Obecnie prowadzą się układy o nabycie od kolei kilkudziesięciu tysięcy akrów w Arkanzas, między rzekami Arkanzas i Mississipi, w kraju lesistym, zdatnym pod uprawę zbóż wszelkich i bawełny, a przez pół jeszcze pustym. Inna znów partya, a raczej duchowni, stojący na jej czele, pragną wyprowadzić swe owieczki na stepowe bezleśne pastwiska Nebraski; obie zaś partye prowadzą z tego powodu nader zaciętą polemikę, w której tak jedna, jak i druga strona nie przebiera zarówno w środkach, jak i w wyrażeniach.

Rozpisałem się obszernie w końcu niniejszego listu o kolejach, owa bowiem nieustraszona odwaga i przedsiębierczość, z jaką są budowane, stanowi jedną z wybitniejszych cech amerykańskiego charakteru. Obecnie kto spojrzy na kartę Stanów Zjednoczonych, dostrzeże, obok linii już istniejących, mnóstwo innych, dopiero wytknię-

tych, które jednak w ciągu kilku lat będą ukończone. Linie te biegną, krzyżują się i łamią we wszystkie strony, pokrywając swą potężną siecią góry, pustynie, lasy i bezludne prawie zupełnie jeszcze stepy. Są w Oregonie, w Warrington-Teskitory, w Montana, w Idaho, w Dakota, Nebrasce, Colorado, Arizonie, Nowym-Meksyku, Texasie i Indian-Territory, słowem w okolicach, w których przed kilkunastu laty, prócz niezliczonych trzód bawołów i uganiających się za nimi miedzianych jeźdźców, strojnych w pióra, nie było innych panów. Ale to nie dosyć! Zuchwalsze jeszcze zamiary lęgną się już podobno w głowach Yankesów. Za mało już im Stanów Zjednoczonych, więc chcieliby okuć w żelazną sieć całą tę część świata, nietylko w jej szerokości, ale i w długości. Czy te zamiary przyjdą do skutku? Doprawdy wątpić nie podobna, bo energia tego wolnego ludu istotnie nie zna niebezpieczeństw, a jedynem prawdziwem hasłem jego jest: *Go ahead!*

Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Do puszczy jedzie się ze strony Bielska krajem otwartym, płaskim. Tylko przyrzeczne łąki przerywają jasną zielenią jednostajność szarej równiny. Rzecz dziwna, lasów naokół puszczy niema wcale, a wzrok lecieć może daleko, nim zgubi się w oddaleniu. Łatwość o drzewo z puszczy i niezmierna jego taniość sprawiły zapewne, że okoliczne wioski wycięły swoje bory. Ale okolica, a raczej jej malowniczość, na tem straciła. Jak okiem sięgnąć: rżyska, rżyska, łany rozległe, smutne. Wsie wielkie, o porządnych zabudowaniach i jaskrawych, nowo-wzniesionych cerkwiach, leżące w środku pól, nie okolone są, jak gdzieindziej, dąbrowami, ni olszyną. Robi to wrażenie pustki, choć kraj tu żyzny, gleba pszeniczna, a osady szlacheckie i chłopskie bogate. Dopiero w pobliżu

Hajnówki ujrzeliśmy widnokrąg zamknięty pasem boru. Była to puszcza. Dojrzeć ją można z większej odległości, niż inne lasy, nietylko z powodu równości gruntu, ale z powodu ogromu drzew i wielkiej głębi obszarów leśnych. Skutkiem tych głębin, puszcza odrzyna się na skłonie nieba niezmiernie czarno, bez porównania wyraziściej i twardziej, niż knieje, jakie zdarzyło mi się widzieć w Królestwie. Gdyśmy zbliżyli się jeszcze więcej do Hajnówki, przed nami była jak gdyby wstęga kiru, której końce szły dalej niż wzrok. Ciągnie się też puszcza siedm mil wzdłuż i pokrywa 22 mile kwadratowe, nie licząc w to Świsłockiej, niegdyś Tyszkiewiczowskiej, obecnie rządowej. O ile mi wiadomo, jest to największy las w Europie. Drzewa też w nim nie ustępują wyniosłością i grubością żadnym innym. W pierwszej chwili jednak nie mogłem sprawdzić tego własnemi oczyma, gdyż zaraz z brzegu gościńca, wiodącego przez puszczę z Hajnówki do Białowieży, ogarnął nas mrok. Za puszczą było jeszcze dość widno, gdyż słońce ledwie co zaszło, ale odblaski zorzy z trudnością przedzierają się przez mroczne głębie, a odwykłe od lasów oczy tem mniej widzą, im naglej przechodzą ze światła

w cienie. Gościniec tylko bielił się między dwiema czarnemi ścianami, które jednak o kilkadziesiąt kroków dalej zdawały się zlewać z sobą. Droga jest równa, szeroka, okopana rowami. Idzie ona z brzegowej Hajnowszczyzny do Białowieży, leżącej w środku boru, potem dalej przez całą puszczę.

Jest to dawny gościniec królewski. Ujechawszy do ośmiu wiorst drogi wozem, resztę szliśmy piechotą, aż do osady leśnika, na połowie drogi do Białowieży. W osadzie tej mieliśmy zamieszkać przez czas pobytu w puszczy. Noc zapadła zupełna. Nad gościńcem widać było pas nieba, zasiany gwiazdami, a tam, gdzieś daleko, na brzegach leśnych, wschodził księżyc. Jednakże promienie jego nie rozświecały wnętrza puszczy, które przysłaniał opar, podnoszący się z wilgotnego gruntu. Było ono zamglone, zmącone, ciemne. Czarne sylwetki drzew przydrożnych rysowały się ledwie widomie dla oka, a dalej drzewa, opar i ciemność zlewały się w jeden nieprzenikniony bezkształt. Nie było przytem najmniejszego wiatru. Nie poruszała się żadna gałąź. Wszędzie cisza nieprzerwana. Czasem tylko zaskrzypiało koło wozu, idącego za nami. Mimowoli poddawaliśmy się tej ciszy

i rozmawialiśmy półgłosem. Jeśli każdy las sprawia w ciemnościach pewne drażniące wrażenie czegoś nieznanego i tajemniczego, tembardziej musi sprawiać je puszcza tak wielka, w której się jest po raz pierwszy. Tymczasem księżyc żeglował coraz wyżej i wyżej. Gościniec rozwidnił się, wilgoć połyskiwała we wklęsłościach drogi, a opar poczynał zsuwać się ku dołowi. Do osady leśnika było już niedaleko, gdyż od czasu do czasu słyszeliśmy szczekanie psów. Szliśmy jeszcze z pół godziny, poczem droga otworzyła się nagle w niewielką polankę leśną. Dojrzałem wysoki żywopłot, za nim zaś coś nakształt postumentu, błyszczącego jak srebro w świetle księżyca. Jest to olbrzymi bronzowy żubr, odlany i wystawiony tu na pamiątkę jakiegoś dworskiego polowania. Sama osada leśnika składa się z dworku, lamusa, w którym przechowują się skóry żubrze, i ze stodoły. Całość, ogrodzona częstokołem, wygląda jak gdyby obronna. Chwilami zdawało mi się, że jestem w Ameryce i że przybywamy do osady skwatera. Ta noc, puszcza, chata zagubiona w głębinach leśnych, wszystko to żywo przypominało mi rzeczy, widziane na drugiej półkuli. Złudzenie powiększała jeszcze krząta-

nina, jaka zwykle towarzyszy przybyciu i roztasowywaniu się w nowem miejscu. Nasz wóz, zaprzężony w sześć koni i zbudowany umyślnie na wyprawę, a mieszczący wygodnie dwanaście osób, mógł też przypomnieć owe «team'y» pitsburskie, owe «okręty stepu», krążące po pustkowiach Nebraski lub Wyomingu. Teraz wyprzęgano właśnie z niego konie przy świetle latarni, a zarazem ku wielkiemu zainteresowaniu psów miejscowych, wypakowywano zapasy żywności.

Podróż nasza, dzięki kilku towarzyszom, była obmyślana i zapowiedziana z góry w puszczy, tak, że leśnikowi nie zrobiliśmy niespodzianki. Ofiarował też nam, co mógł ofiarować, to jest ogień w kuchni i izbę, w której mieliśmy nocować. Wkrótce obozowisko było gotowe, i przybytek myśliwski zapełnił się dymem cygar, papierosów i miłym dla każdego polskiego nosa dymem potrawy, w której, wedle słów Mickiewicza, kapusta:

Zamknięta w kotle, łonem wilgotnem okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wyciśnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war tryśnie,
I powietrze dokoła zionie aromatem.

Otóż powietrze zionęło aromatem; «strzelcy bodli naczynie»; psy odprowadzały oczyma każdą łyżkę, niesioną z talerza do ust, a dźwięk talerzy i łyżek mieszał się z gwarem wesołej rozmowy o jutrzejszej wycieczce w głąb zwierzyńca i o żubrach. Bądźcobądź miło jest sobie powiedzieć: «Jestem w Białowieskiej puszczy, o której prawili mi mój dziad i ojciec, i będę jutro widział żubry, których prawdopodobnie ani dziadek, ani ojciec nie widzieli. «Milej jeszcze, gdy się taką wyprawę odbywa w dobranem i sympatycznem towarzystwie, gdy się ma spędzić kilka dni życiem koczowniczem, pełnem wrażeń, na wycieczkach w różne «straże» nieznanej kniei. Nakoniec, nie jest nieprzyjemną i myśl, że w przerwach poetycznych natchnień, jakiemi obarcza duszę puszcza, będzie się miało do czynienia z bigosem. Z dawnych czasów zostało w nas trochę żyłki żołnierskiej, więc gdy się człowiek znajdzie na jakiemś improwizowanem choćby obozowisku, gdy się oderwie od pióra, biura i krzesła, w które całe życie wrasta, to i duszy wesoło. Jest w tem coś nowego, niezwykłego.

Oto np. ściany izby, całe ubrane są w rogi jelenie, daniele i łosie... Przez małe okienko

połyska w świetle księżyca żubr bronzowy, a dalej stoi nieruchoma puszcza... Po wieczerzy wychodzimy na ganek i na majdan. Widno, pogodnie. Mgła już znikła. Konie, skupione przy wozie, chrupią obrok. Jak cicho! ale jak cicho! przestronno, poważnie, dobrze! Oko, choć przy księżycu, widzi, że tu sosny jakieś odwieczne, wynioślejsze niż gdzieindziej. Może dlatego nie wlazły dotąd Zydom w kieszeń. Nikt też nie potrzebuje robić z nich miotły dla wymiecenia jakiej, niezbyt czystej hypoteki. Czasem tam popłynie cicho która z tych matron Lśną lub Narewką, ale to rzeki za małe, by cała Białowieża mogła niemi wypływać — sosny więc stoją ogromne, strzeliste, i teraz oto księżyc gra po nich, jak grał sto lat temu; oświeca ich czuby, wdziera się w przerwy między gałęźmi i upada na grunt puszczy, w kształcie grubych białych snopów i pasem. Rzekłbyś: duchy przechadzają się wśród kolumn. Prawdziwe czarodziejstwo leśne. Głębokie cienie i tuż drgające plamy srebrne! Coś tam poruszą się, coś żyje! Tylko czekać, jak zaśpiewa dziwożona. Ale i bez tego chciałoby się choć zaraz iść w głąb.

Tymczasem zbliża się ku nam gospodarz.

Jest to młody jeszcze człowiek, o twarzy zamyślonej i trochę posępnej, jak zwykle ludzie leśni, którzy większą część życia przepędzają w samotności. Nasz zapewne od dzieciństwa chował się w puszczy, a może nietylko on, ale i jego ojciec i dziad, bo urzędy leśników przechodzą z ojca na syna.

— Czy panowie słyszeli jelenie? — pyta przeciągłym głosem.

— Nie. Czy można je stąd słyszeć?

Leśnik patrzy przez chwilę na gwiazdy.

— Tylko słychać, jak rozpoczną. Teraz, panie, bekowisko. Samce straszą się po całych nocach. Taki ryk, że człowiek niezwyczajny i spaćby nie mógł.

Jakoż nie trzeba było długo czekać. Krótki, urwany, chrapliwy ryk zagrzmiał nagle wśród ciszy i natychmiast odpowiedział mu drugi. Konie przy wozie, jako pochodzące z równin i nie przywykłe do lasów, ni do podobnych głosów, targnęły za postronki, przestały jeść owies i strzygąc uszyma, poczęły chrapać niespokojnie. Tymczasem cała puszcza rozebrzmiała naokoło, w samym bowiem zwierzyńcu, na którego skraju stoi chata, jest przeszło sto sztuk jeleni. Zwierzyniec to nielada. Stanowi go sześć-

dziesiąt włók lasu, ogrodzonych częstokołem — lasu, tak dzikiego, a miejscami bagnistego, jak każdy inny. Są tam osobne części dla żubrów, dzików i jeleni. Głosy tych ostatnich rzeczywiście nader są przykre i ponure. Ryk składa się z krótkich, urywanych, gardlowych brzmień. Chwilami przechodzą one w przeciągłe, chrapliwe jęki lub basowe, stłumione stakatta, w których nadzwyczaj wyraziście znać gniew, rozpacz lub zaciekłość. Samcy wyzywają się w ten sposób i straszą.

Wśród nocy rozegrywają się podczas bekowiska prawdziwe dramata natury. Leśnik nasz podpatrywał je niejednokrotnie. Na księżycowych polankach, wśród bagien i zarośli, samce toczą bój na śmierć i życie. Karki i grzbiety ich, powyginane w kabłąk wysileniem, prą się wzajemnie. Rogi uderzają o siebie; czasem się plączą — a wówczas zczepieni zapaśnicy wodzą się wzajemnie po polance. Gardziele ich ryczą i charczą. Nozdrza dymią — naokoło zaś z krzaków i między drzewami widać przy księżycu wdzięczne głowy łań, czekających na rezultat walki. Rankiem leśniczy często znajduje trupy samców. Często stają się one łupem kłusowników, gdyż zapamiętawszy się, nie słyszą

kroków człowieka. Korzystają również z takich walk wilki i rysie. Wilków wprawdzie mało jest w puszczy: co większa, rozdrażniony jeleń broni się zaciekle; ale przed rysiem, rzucającym mu się na kark z drzewa, nie może się uchronić.

Nazajutrz rankiem wyszliśmy pod przewodnictwem leśnika, obiecano nam bowiem widok żubrów. Po dniu można się było doskonale puszczy przypatrzyć. Przedewszystkiem uderza w niej i odróżnia ją od innych lasów mieszanina drzew. Jednolity las znajduje się w częściach pojedyńczych straży, ale na większości przestrzeni mieszanina przeważa. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk, rosną tu obok siebie w bezpośredniem sąsiedztwie. Spoglądając w dal, widzisz wszystkie odcienie zieloności — od ciemnej, aż do jasno-żółtawej. Rozmaitość ta bawi oko i odejmuje puszczy posępny, jednostajny charakter. Drugą cechą puszczy jest wysokość drzew. Dążąc do światła, którego tylko wierzchołkami zachwycić może, każde drzewo nie rozrasta się tam szeroko, ale strzela w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniem, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęziastą koronę. Lipy, które w ogrodach przykrywają cieniem gałęzi takie szerokie przestrzenie, tu

podobne są raczej do topoli. Są miejsca, gdzie las jest czysto lipowy. Owóż i w tych miejscach dostrzegamy przedewszystkiem gładkie, smukłe pnie, podobne do szeregów masztów, ustawionych obok siebie i nakrytych jedną zieloną kopułą. Dąb nie krzywi się w puszczy, nie związuje w węzły, ale wyrasta, jak trzcina. Sosny mają czterdzieści łokci do pierwszych gałęzi. Młody las całą siłą pędu pragnie wydostać się do światła — wyrasta więc cienki, gonny — rzekłbyś: drzewo myśli o grubości dopiero wówczas, gdy już załatwiło się z wysokością i wierzch w słońcu kąpać może. Stare drzewa stoją jednak dość rzadko. Młodzież pod niemi przeważa. Tylko w części, zwanej Browskiem, w Nieznanowym Rogu i koło Zamczyska, znajdują się miejsca, pokryte jednolitym starodrzewem, stojącym w zbitych masach. Ale tam też, u stóp olbrzymów, z powodu wiecznego mroku młody las rosnąć nie może; tam ledwie gdzieniegdzie tuli się paproć blada, rdzawa — zresztą grunt pokryty jest tylko uschłem igliwiem, zwiędłym liściem, próchnem z umarłych dawno drzew, które nocą świeci błękitnie — i zwałami. W tej części, którą przechodziliśmy teraz, olbrzymy stoją pojedyńczo, jak strażnicy,

jak ojce. Pod nimi młoda gęstwina się zieleni. Grunt zwierzyńca, nizki i wilgotny, w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, pochylał się coraz bardziej i stawał się miejscami bagnisty. Wytężaliśmy wzrok, czy gdzie wśród zieleni nie zobaczymy żubrów. W puszczy możnaby ich szukać całe tygodnie, ale w zwierzyńcu łatwiej je wypatrzyć. Chłopi z Bud, których trzeba nająć umyślnie, znalazłszy stado, naganiają je na zwiedzających, i wówczas, schowawszy się za sosny, można przyjrzeć się mu dokładnie.

Należy tylko uważać, by nie wychylić się za wcześnie, bo spostrzegłszy ludzi przed sobą, spłoszone zwierzęta zmieniają natychmiast kierunek i znikną, nim oko pochwycić zdoła ich kształty. Przez długi czas szliśmy w milczeniu, wytężając wzrok i nie widząc nic.

Naokoło rozlegało się tylko kucie dzięciołów w spróchniałe sosny, krzyk sojek i żołn. Droga stawała się błotnistą. Gdzieniegdzie błyszczały dość głębokie kałuże wody, w których kąpią się jelenie. Miejscami widać było wyraźnie odciśnięte w błocie ślady potężnych racic żubrowych — ale na żubry nie mogliśmy trafić. Natomiast coraz częściej pierzchały w oddali jelenie, których rudawa odzież miga, jak

błyskawica, wśród zieloności. Puszcza stawała się gęstszą. Nakoniec zeszliśmy stadko łań tak blizko, że można się im było dokładnie przyjrzeć.

Krótko to jednak trwało. Wkrótce wysmukłe szyje poczęły się chwiać i podnosić, rozwarte, ruchome nozdrza badały niespokojnie powietrze, nastawiane uszy poruszały się szybko — i nagle stado mignęło, zaszeleściły zarośla. Kilka grzbietów błysnęło ponad krzakami i znikło.

Zrobiliśmy mały wypoczynek. Tymczasem przyjechał nadleśny, który wysłał budników na poszukiwanie żubrów. Była obawa, że, nie wiedząc, gdzie jesteśmy, mogli pognać stado w inną stronę. Nagle, w oddali, pokazał się jakiś wieśniak i szedł śpiesznie, jakby nam chciał co zwiastować.

— A co tam? są żubry? — spytałem go.

Chłop zwrócił na mnie wielkie, jakieś przestraszone niebieskie oczy — ogarnął niemi całe zgromadzenie, i przeszedł śpiesznie, nie odrzekłszy ni słowa. Uderzyła mnie jego twarz. Była wychudła, blada, a w spojrzeniu miał coś nieprzytomnego.

— To waryat — rzekł nadleśny. — Dobry

człowiek. Nikomu nie robi nic złego. «Dobry mały». Błąka się tak po całych dniach, jakby kogoś szukał. Nocą przychodzi do Bud. Dają mu jeść. Biedne człeczysko...

Rzeczywiście był to wieśniak z Bud, który zwaryował — jak się zdaje — z przerażenia, w czasie ostatniej wojny tureckiej, w której brał udział, jako żołnierz. Odesłano go do domu i odtąd przebiega w rozmaitych kierunkach puszczę, jakby kogoś poszukiwał. Do ludzi nic nie mówi. Spotkawszy kogoś, mija go z pośpiechem, rzucając mu to pytające i jakby przelękłe spojrzenie, które tak silnie utkwiło mi w pamięci.

Szczególne spotkanie... w puszczy.

Nadleśny odjechał. Po chwili zjawił się jeden z budników.

— Schowajcie się, schowajcie! — wołał. — Zaraz będą szły tędy.

Skoczyliśmy co prędzej do sosen — żubry szły rzeczywiście.

Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie się krzów i drzewek. Gdy całe stado pędzi z pośpiechem, sprawia w puszczy taki łoskot, że wśród ciszy można go posłyszeć na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyńcze

sztuki. Naprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które, to zbiegając się, to rozbiegając, sunęły ku nam z nadzwyczajną szybkością, rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfitymi kudłami, zwieszającymi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrzawszy nas, czy też zwietrzywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtorasta kroków, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne.

Ponieważ za nami las był zupełnie podszyty, wkrótce straciliśmy je z oczu. Po pewnym czasie znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze dalej, niż poprzednio. Prawdziwie dobrze przypatrzyć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero w końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatłoczyło się w ten kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się za drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce, młode byczki i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z nimi i stado jeleni, które również schroniło się w to zacisze po-

przednio. Wówczas otoczyła nas cała menażerya puszczy. Krasne łanie biegły bezładnie becząc, za niemi zaś ostatni podążał jeleń, jakiś zwycięzca z wczorajszej walki, uwieńczony potężną koroną rogów. W przeciwieństwie do stosunków niezwierzęcych, ogromne te rogi właśnie zapewniły mu wierność małżonek.

Teraz biegł za niemi w ciężkim galopie, przechylając przeciążoną głowę na grzbiet. Ręka mimowoli szukała strzelby, której brać z sobą do puszczy nie wolno. Cały korowód przesuwał się nie więcej, niż o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę, kołowały czas jakiś tuż obok nas. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem a marną resztą ciała, smyrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż koło częstokołu, i tę widzieliśmy najlepiej. Małe jej nietylko nie zostawało, ale uprzedzało jeszcze matkę. Gdyby było ranne, możeby się była rzuciła na budników, których żubry mniej się boją, niż ludzi przybyłych zdaleka i noszących nieznane im ubiory. Wogóle jednak żubry są płochliwe, i gdy ranny

jeleń rzuca się na strzelca nader często, żubr, należący jeszcze do stada, niemal nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedyńczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne. Widocznie starość, odłączenie i ciągła samotność usposabia ich posępnie i gniewliwie.

Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje napoprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki i nie ustępuje nietylko pojedyńczemu człowiekowi, ale i gromadzie całej. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyna kiwać swą olbrzymią, brodatą głową, toczy krwawemi oczyma, wydaje głuchy mruk, podobny do chrząkania i chrapania zarazem, i rzuca się naoślep. Naówczas biada zaczepionym. To też chłop puszczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzyma jak najdalej. Bywają także wypadki, że w ostępie rzuca się niespodzianie na leśnika. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni, lub jeśli nie chce strzelać, jest: uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Naokół grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono

z łatwością strzelca, depcze go i rozmiażdża racicami, potem porywa na rogi i ciska w górę. Pewien stary leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, opowiadał jednemu z naszych towarzyszów, iż dwa razy w życiu napadany był przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa, jak mógł najszczelniej. Żubr nie mógł go deptać, że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mogł także podłożyć pod niego rogów. Jednakże zaciekły zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Starzec opowiadał potem, iż zdawało mu się, że trwało to wieki całe. Drugi raz wyratował się ucieczką, sposobem wyżej wspomnianym.

Jeżeli postać żubra jest wspaniała i straszna zarazem, to i siła jego nie jest mniejsza. Dowodem tego jest wypadek, jaki niedawno zdarzył się w Budach. Chłopi puszczańscy, siedząc we wsiach, położonych koło biegu rzeczek i strumieni, mają przepyszne pastwiska, a co za tem idzie i bydło tak piękne, jakiego gdzieindziej nawet w wielkich gospodarstwach nie znaleźć. Jest to wspaniała leśna rasa o wysokim zadzie, nizkim przodzie i kościach okrągłych — rasa bardzo mięsista i mleczna, hodowana z zamiłowaniem i starannością. Ponieważ

jednak wsie puszczańskie leżą czasem po pięć i sześć mil w głębi puszczy, i gospodarzom daleko było jeździć do dworów, trzymających stadniki, zakupili więc sobie składkowym sposobem olbrzymiego buhaja, który miał stale w Budach rezydować. Na nieszczęście, tuż do Bud przypiera częstokół żubrowego zwierzyńca. Buhaj, wyrwawszy się w nocy, obalił dwa przęsła częstokołu, wszedł do zwierzyńca i spotkał się ze starym pojedynkiem. Zaczęła się walka, przy której obecni byli rozbudzeni chłopi. Próbowali nawet przerwać ją krzykiem i drągami, ale usiłowania te nie przyniosły najmniejszego skutku. Zapaśnicy parli się łbami, lub odskakiwali od siebie, aby po chwili zewrzeć się nowem, strasznem uderzeniem. Po kilku chwilach buhaj padł. Chłopi pouciekali, żubr zaś bódł go jeszcze przez pewien czas ze wściekłością. Nazajutrz, w dzień, znaleziono byka z rozdartym brzuchem, z wnętrznościami na zewnątrz — prócz tego wszystkie kości kręgowe karku miał pogruchotane i zmiażdżone. Historyę tę opowiadał mnie i Glogerowi młody budnik, który nas woził do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska.

Obecnie niema już prawie niedźwiedzi w pusz-

czy, ale czytałem w swoim czasie, że żubr, zaczepiony przez niedźwiedzia, pokonywał go z łatwością. Za to trzy, a nawet dwa wilki, kładły po pewnym czasie najtęższego pojedynka, gdy bowiem jeden skakał mu przed łbem, drugi korzystał z czasu, by wyrwać mu dziurę w boku i wypuścić wnętrzności. Stada jednak żubrowe nie obawiały się wilków, choćby po Matce Boskiej Gromnicznej połączonych w gromady.

Żubr litewski nader podobny jest do amerykańskiego bizona. Różni się tylko od niego zewnętrznie mniejszą głową i mniejszą wyniosłością przodu. Jest on także garbaty, ale nie do tego stopnia. Kudły na grzbiecie ma także mniejsze i nie tak obfite, za to jest dłuższy i silniejszy w zadzie. Pod względem wagi, zdaje mi się, że nasz Litwin nie ustępuje Amerykaninowi, ani go też nie przewyższa. Ustępuje tylko liczbą, bo gdy bizonów są jeszcze na wysokich i nizkich stepach setki tysięcy — liczba żubrów nie przenosi sześciuset sztuk. Mnożą się one bardzo powoli, gdyż cielęta ssą bardzo długo. Trzyletnie ogromne byczysko musi klękać na przednie nogi, chcąc dostać się do wymienia matki, a jeszcze ją wysysa. Za rządów pru-

skich, liczba tych zwierząt zmniejszyła się tak dalece, iż była obawa, że wyginą zupełnie.

Wówczas to z Białostockiego obwodu wpadały suchą granicą całe bandy kłusowników, które stawiały opór leśnikom i wybijały żubry niemal otwarcie. Przy gospodarstwie pruskiem nie byłyby zapewne takie nadużycia długo trwały, na razie jednak nie podobna było im zapobiedz. Później, w roku 1821, liczono już tylko 370 sztuk. Raptowne to zmniejszenie wywołało surowe zakazy polowania. Do puszczy nie wolno było wjeżdżać z bronią, odjęto ją również i osacznikom; rozciągnięto nadzór nad samymi leśnikami, a kary za zabicie żubra były nader surowe. To też w roku 1829 liczba żubrów sięgała już 800, choć zbyt ścisły zakaz polowania wywołał inne złe. Wilki mianowicie rozmnożyły się tak nadzwyczajnie, że w ciągu kilku lat pożarły kilkadziesiąt sztuk. Leśnicy nie śmieli chodzić po puszczy.

Jest dotąd tradycya, że wilki oblegały ich zimową porą nawet w chatach. Nocami ostępy brzmiały takiem wyciem, że całe wsie ogarniało przerażenie. Potem wydano leśnikom rozkaz wytępiania wilków, których liczba zmniejszyła się znacznie. Dziś są one rzadkością w puszczy

i trzymają się tylko w części boru, zwanej Nieznanowym Rogiem, który nawet w zimie, z powodu niezamarzających oparzelisk, jest prawie zupełnie niedostępny. Niewielka stosunkowo liczba dziś istniejących żubrów da się wytłómaczyć po części złagodzeniem kary za zabijanie tych zwierząt, poczęści rozrastaniem się wsi. Jest ich w puszczy kilkanaście. Ludność wzrasta, osady rozszerzają się, ruch na drogach, wiodących przez ostępy, zwiększa się, nic więc dziwnego, że płochliwy zwierz cofa się w coraz głębsze uroczyska, nie czuje się swobodnym i nie mnoży się, jakby mógł, gdyby nic nie mąciło ciszy leśnej.

Chłopi obowiązani są stawiać zimą zebrane stogi z tomki i miodunki, ale stawiają je także w pobliżu wsi i dla swego bydła. Owoż żubry, zimą mniej płochliwe, częstokroć zachodzą i do wiejskich stogów. Wówczas cała wieś wypada, krzyczy, strzela na wiatr i płoszy zwierzęta, które potem i do stogów dla siebie przeznaczonych zbliżają się z obawą, lub nie zbliżają się wcale, zadowalając się trawą, wydobywaną rogami z pod śniegu, i przymierając głodem. Prócz tego łudziłby się, ktoby sądził, że dziś niema już kłusowników i szkód między żubrami. Wie-

my od miejscowych ludzi, że na chrzciny, wesela i tym podobne uroczystości do dziś dnia zastawiają w chatach żubrze mięso. Od każdego też chłopa, zaskarbiwszy sobie jego ufność, można nabyć rogi lub skórę, każdy bowiem jest potrosze kłusownikiem. Latem trudniej im wyprawiać się na łowy, ale zimową porą, w czasie zawiei, gdy szum wiatru głuszy strzał, a śnieg zasypuje ślady, wyprawiają się w saneczkach na upatrzonego i z podobnych wypraw rzadko wracają bez łupu.

Słyszałem też o pewnym żydku, zamieszkującym daleko od puszczy, który sąsiadującemu z nim obywatelowi ofiarował się sprzedać żywe cielę żubrowe. Obywatel propozycyę odrzucił, świadczy ona jednak, że kłusownicy nie są mitami, a wyniszczanie przez nich żubrów nie stało się li tylko tradycyą. Osadzić w puszczy tylko leśników, przenieść z niej wsie gospodarskie i uczynić ją jednolitym borem — oto byłby środek, trudny wprawdzie, ale skuteczny do pomnożenia żubrów. Przekonanie zresztą, że nie mogą one żyć gdzieindziej, tylko w puszczy Białowieskiej, jest mylne. Naprzód, kilkadziesiąt sztuk żyje w Świsłockiej, oddzielonej od pierwszej Narwią — powtóre, mnożą się podobno na

Szląsku u księcia de Pless, z kilku osobników, darowanych mu przed niedawnym czasem. Łączą się także z bydłem domowem i wydają dziwne potomstwo — potężne, z wysokim garbem nad przedniemi łopatkami, z szerokim łbem i bujnym zarostem czoła i brody. Póki małe, mieszańce owe są łaskawe i wesołe; z wiekiem stają się płochliwe, dziczeją i roztrącają swojskie bydło. Potomstwa dalej nie wydają, co dowodzi, że żubr jest odmiennym od naszego bydła gatunkiem.

Obliczanie żubrów odbywało się dawniej nader prostym sposobem. Cała puszcza była podzielona na dwanaście straży, które miały kształt trójkątów zbiegających się wierzchołkami we wsi Białowieża Nowa; podstawę zaś trójkątów stanowiły brzegi puszczy. Straże były następujące: Augustowska, Narewska, Browska, Hajnowska, Leśnianka, Starzyńska, Stołpowiska, Krakowska, Okolnicka, Świetliczańska, Pobielska i Dziadowlańska. Każda była pod zawiadowaniem starszego leśnika i dzieliła się na ostępy, nad którymi czuwali młodsi leśnicy. Owóż, gdy śniegi spadły, obliczano żubry w ten sposób, że każdy młodszy leśnik karbował na kiju wedle śladów wszystkie sztuki, które we-

szły do jego ostępu lub z niego wyszły. Te, które wyszły, powinny się były znaleźć zakarbowane w sąsiednich ostępach, jako przybyłe.

Wiczorem składano wszystkie kije u nadleśnego i wówczas rachunek już był łatwy, bo żadna sztuka nie mogła być ani pominiętą, ani porachowaną dwa razy. Być może, że tego sposobu używają jeszcze i dzisiaj, o ile pozwala na niego nowy podział i nowe, odmienne gospodarstwo w puszczy.

Trafiliśmy właśnie na jakąś komisyę, która zabrała się do nader surowego obrachunku z miejscową administracyą. Stąd złe humory i niepokój. Rzeczywiście, administracya tak olbrzymiego lasu nie jest łatwa, ale też bez zaprzeczenia ogromne skarby marnują się w puszczy. Sosny masztowe sprzedają się po pięćdziesiąt kopiejek — i dla trudności przewozu nikt ich kupować nie chce. Drogi wprawdzie są niezłe, ale niema szos, a choćby i były, zawsze przy handlu drzewem komunikacya lądowa jest trudną i niepożyteczną. Rzeki puszczańskie bywają spławne w czasie przyboru wody — mało jednak wychodzi drzewa i niemi. Tymczasem wychodzić powinno, byle użytkowano z niego rozumnie i tamowano nadużycia.

Mniemanie, że dla dobra lasu należy go zostawić nietkniętym, jest mylne. Przedewszystkiem należy go czysto utrzymywać, a jakże pod tym względem wygląda puszcza? Oto na ogromnych przestrzeniach, wszędzie niemal, leżą zwały drzew. Stosy te, spróchniałe i gnijące, piętrzą się czasem na kilkanaście stóp wysoko. Nad niemi jeszcze sterczą, jak domy, olbrzymie wykroty. Stare drzewo, padając, wyrywa całą przestrzeń ziemi, którą obejmowały jego korzenie. W wyrwanem miejscu tworzy się dół, w którym zbiera się woda deszczowa. Dziwny i przerażający widok przedstawiają takie ostępy: grunt porwany, pełen zasadzek, pnie, wykroty i suche, powykręcane rozpaczliwie gałęzie, które pokrywa mech lub plugawa wilgoć, wypełniają całą przestrzeń; wśród chaosu drzewnego, prześwieca bagno — wszystko razem pomieszane, połamane, zniszczone, dzikie, zmarłe i gnijące — oto obraz. Nawet powietrze tam ciężkie, przesycone wonią próchna i zgnilizny.

Cisza! Słychać tylko kowanie dzięcioła, który wśród próchna znajduje łup obfity. Jest to ojczyzna skórników; gnieżdżą się one tu milionami. Stąd przenoszą się na inne drzewa, toczą

je, wysysają. Żubr i jeleń tu nie zachodzą, łoś tylko wyleguje się bezpiecznie w bagnisku.

Mimowoli przychodzą na pamięć słowa Mickiewicza:

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna ich ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko, albo bajka, wie co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zniósł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem;
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą).
Woda tych studni lśkni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejących się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami, już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi...

Ile szkody przynoszą puszczy takie ostępy — łatwo zrozumieć. Dodajmy do tego, że każde ze starych drzew, padając łamie i gniecie w upadku dziesięć młodszych, zdrowych jeszcze. W Niemczech nie pozwalają starym olbrzymom usychać i umierać na pniu; tu, miejscami, na całych morgach, nad młodym lasem wznosi się las sosen uschłych. Nic posępniejszego, niż wrażenie, którego się tam doznaje. Na drzewach niema nietylko igieł, ale i kory. Są to nagie olbrzymie szkielety, poczerniałe od wiatru i słońca. Całość wygląda jak jaki cmentarz leśny. Należałoby takie trupy uprzątać, nim zostaną trupami — bo, powtarzam, są to zmarnowane skarby, które zamiast korzyści, szkodę jeszcze przynoszą. Wartoby dla ich spławu i koryta rzek uregulować. Zysk ze sprzedaży opłacilby robotę, administracyę i przyniósłby jeszcze czysty dochód.

Dlaczego tak się nie dzieje, trudno wiedzieć. Może rąk brak, choć, gdy się pomyśli, ile jest wsi w puszczy, jaka łatwość robotnika — i to

przypuszczenie nie zdaje się prawdopodobnem. Może komisya obecna niejasne dotąd przyczyny wyjaśni?

Czas schodził nam wieczorami na słuchaniu głosów jeleni, we dnie na wycieczkach i zabieraniu znajomości z ludem puszczańskim.

Jeździliśmy na wózkach budników do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska. Niebo dopisywało nam znakomicie, dni były prawdziwe jesienne, blade, ale pogodne, tą smętną i chłodną pogodą jesieni, która zdaje się być ostatnim uśmiechem słońca przed zimą. Zabarwiony na czerwono liść spływał milionami z drzew na ziemię, napełniając puszczę szeptem łagodnym. W tej całej leśnej naturze bywały chwile takiego spokoju, jakiego napróżno szukać po za nią. Wśród tego spokoju możnaby zapomnieć o wszystkiem, nawet o sobie samym; można rozmiłować się w tej puszczy, którą jesień maluje w barwy rozmaite.

W głębokich przestrzeniach leśnych grają zielone, żółte i czerwone odmiany liścia, oblane bladem światłem dnia. Ileż tam tonów, ile odcieni, ile stopniowań i łagodnych połączeń każdej barwy, a nad wszystkiem jakaś melancholia jesienna. Taką wzorzystą puszczę widzieli-

śmy szczególniej podczas wycieczki do Zamczyska, w ostępie tym bowiem klon, dąb, sosna i inne drzewa rosną w pomieszaniu obok siebie. Ostęp zwie się Zamczyskiem, gdyż niegdyś stał tam zamek. Ale napróżno pytać ludzi i kronik: kiedy to było? Dziś są to kupy ogromnych głazów, między którymi wyrastają stuletnie drzewa. Czasem laska, wetknięta między dwa głazy, zapada nagle jakby w jakieś podziemie; czasem grunt się ugnie pod nogą, czasem uwagę zwróci dół czworoboczny, ubramowany głazami — widoczne ślady budowy — ale nic więcej. Pod staremi drzewami szarzeje gęstwina umarłych dąbków i grabów, pokrytych srebrnym mchem. Tu rośnie także suche drzewko, dziwna roślina, która wydaje się uschłą, a jednak żyje i rośnie. Chłopi mówią, że niema jej nigdzie za puszczą, w puszczy zaś upodobała sobie szczególnie tę miejscowość.

Kto stawiał zamek? Może Jadźwingowie? może który z książąt litewskich? Są to tylko przypuszczenia. Wieki przeszły nad tą ruiną, i dziesiąte pokolenie drzew na niej wyrasta. Tylko baśń, jak nić pajęcza, czepia się gruzów. Budnik, któremu nocą wypadnie przejeżdżać koło Zamczyska, przejeżdża szybko i żegna się. Mówią, że

gdy jest ciemno i ciepło, błędny ognik skacze z kamienia na kamień; mówią, że są tam podziemia. Leśniczy Tołścik, człowiek dość wykształcony, z zupełną wiarą zapewniał nas, że raz znaleziono pieniądze, ale że się w chwili, gdy ich dotknięto, zapadły. Budnicy wierzą w to święcie, i ktoby dłużej pobył między nimi, tenby zapewne mógł zebrać sporą wiązkę podań, a może i pieśni, które, jak «arka przymierza» połączyły dawne lata z nowemi.

Na drodze do wsi Białowieży spotykasz się już nie z legendą, ale z tradycyą historyczną. Obok drogi wznosi się góra, zwana Batorową. Każdy budnik opowie podróżnemu, że na szczycie jej zasiadł do uczty «bardzo mocny» król, który przedtem kilka dni w puszczy polował i nabił żubrów i niedźwiedzi co niemiara, a do tego oszczepem.

W samej wsi Białowieża jest jeszcze wyraźniejszy ślad przeszłości. Wznosi się tam czworokątny słup kamienny, na którym czytasz napis, że Najjaśniejsze Państwo, król polski, elektor saski z królową jejmością i królewiczami, polowali w puszczy i zabili 42 żubry, trzynaście łosiów, dwie sarny i t. d. Są też wyryte i nazwiska urzędników, rozmaitych dygnitarzy litew-

skich i koronnych, oraz gości saskich. Podana także waga największych sztuk ubitych.

Białowieża leży w samym środku puszczy; jest to ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości, zamożna, zamieszkana przez pomieszaną ludność Mazurów, Litwinów i Rusinów. Nazwę swą zawdzięcza zapewne wieś, jak i cała puszcza, jakiejś białej wieży, która niegdyś musiała się tu wznosić. Kiedy? — nikt nie pamięta — i o ile mi wiadomo, niema również żadnych śladów piśmiennych. Gloger, który ich poszukiwał, nic nie odkrył. Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworków wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty, oświecony i dawnych czasów pamiętny. Podania, o czem niżej przyjdzie mi mówić, tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącej na drodze do Browska, dochował się starożytny budynek, w którym niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i zczerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie, w porównaniu z wielokolorową cerkwią, wzniesioną niedawno dla eks-uniatów. Niedaleko od cerkwi wznosi się pawilon cesarski, trzymany w stylu wiejskich domów moskiewskich, z wysokim dachem, powycinanymi słupami

i mnóstwem koronkowych ozdób, rzniętych w drzewie. W pawilonie ma być księga, zawierająca malowane obrazy dawnych niefortunnych polowań, na których strzelcy, uciekając przed żubrami, zaczepiają się za wyloty od kontuszów o drzewa.

Sprzeciwia się to tradycyi o dawnych, olbrzymiej siły łowcach, którzy, chwyciwszy żubra za rogi, wywodzili go z ostępu.

Dzisiejsze polowania odbywają się prawie wyłącznie w zwierzyńcu, w którym łatwiej znaleźć stada. Rozumie się także, że obecnie polowania z dzisiejszą bronią palną przedstawiają daleko mniej niebezpieczeństwa, niż dawniejsze, zwłaszcza, że na wielkich łowach używają zwykle kul pękających.

Cała wieś Białowieża jest to polny czworobok, otoczony ścianą lasów. Południowa strona stanowi brzeg uroczyska, zwanego Browsk. Być może, że nazwa ta jest skróceniem nazwy Bobrowsk, od bobrów, które dawniej licznie zamieszkiwały puszczę. Na Narwi, Narewce, Liśnie, Łętowni, oraz na strumieniach leśnych, były liczne żeremia. Obecnie i pamięć o nich zaginęła. Weszło teraz w modę zrzucać wszystko na złe i nieopatrzne gospodarstwo dawnych czasów, a jednak dawne prawa polskie opiekowały

się bobrem nader starannie i stanowczo. Wedle Statutu Litewskiego, kto miał choćby w cudzej ziemi kupione gony bobrowe, mógł żądać, by zwierzątek nie płoszono dla podorywki lub sianożęcia, gdyż bóbr straszony «traci przemysł, który społeczeństwu bobrów czyni go pożytecznym». Puszczańskie żeremia były najliczniej zamieszkane, a gony bogate i w zapasy obfite. Nie było też sławniejszych skór, niż białowieskie, i te płaciły się najdrożej. Obecnie słyszałem, że bobry trafiają się jeszcze na Polesiu, ale rzadko.

Administracya puszczy zasłużyłaby się prawdziwie, gdyby postarała się o sprowadzenie tych zwierząt, o osadzenie ich i rozmnożenie napowrót po rzekach i strumieniach. Trzebaby tylko, aby dzisiejsze prawo otoczyło je taką opieką, jak dawne polskie i litewskie.

W strażę Browską nie zapuszczaliśmy się zbyt głęboko, gdyż brak czasu stanął nam na zawadzie. Jest ona w znacznej części, przynajmniej z brzegu, pokryta czarnym borem. Nie widziałem tam także owych cmentarzysk, na których sterczą uschłe i ogołocone z kory i liści sosny. Starodrzew wyniosły, ale zdrowy, jędrny. Igliwie obfite, tak, że dal nie jest różno-

barwna, jak w innych okolicach puszczy, ale jednostajna, ciemna. Pod spodem czysto; knieja nie podszyta, powietrze przesycone balsamem żywicznym. Jest to jedna z najpiękniejszych straży. Musi być tylko strzeżona pilniej od innych od ognia, gdyż bór łatwiej podlega pożarom, niż las liściasty. Sosna ma mniej wilgoci, a więcej żywicy od innych drzew, i sosny też w razie wypadku zapalają się jedna od drugiej, jak świece. Pod tym względem porządek zachowywany w puszczy wiele pozostawia do życzenia i nagany. Rozkładanie ognia jest surowo wzbronione, ale pilnowane słabo. Wracając z Zamczyska, widzieliśmy w lesie olbrzymią kłodę, buchającą płomieniem. Ogień wydrążył ją i potworzył sobie przeloty, którymi strzelał wysoko w górę. Poszedł on także na kilkanaście stóp wokoło i zatrzymał się dopiero u granicy mchów wilgotnych, którymi, na szczęście, miejscowość była otoczona. Odjechawszy, widzieliśmy jeszcze długo połyskującą wśród mroku łunę, jakoby kuźni, w lesie ukrytej.

Pożar jest najstraszniejszą klęską, jaka się tam zdarzyć może. W 1811 roku tłukł puszczę przez trzy miesiące, od czerwca do października. Ratunek wszelki nie zdał się na nic. Ostępy, po-

kryte drzewem iglastem, zapalały się od żaru iskier, nim płomień do nich doszedł. Ludzie założyli w końcu ręce i czekali zmiłowania bożego, które też przyszło nareszcie pod postacią potoków deszczu. Ogień rozkładają najczęściej dzieci pasące bydło, bo starsi tego nie czynią. Chłop puszczański jest roztropny i bynajmniej nie lekkomyślny.

Lud ten zasługuje pod każdym względem na bliższą uwagę. Zamknięty w puszczy, odłączony rzecby można od reszty świata, uległ on mniej zewnętrznym wpływom, zachował więcej dawnych zwyczajów, tradycyi i cech dawnego bytu, niż mieszkańcy ziem puszczy przyległych. Lud to przytem, który nie znał nigdy pana — puszcza była królewska — więc spełniał tylko powinność względem króla, a zresztą siedział na woli. Wsie puszczańskie zamieszkane są przez Litwinów, Rusinów i Mazurów. Ci ostatni, sprowadzeni przed wiekami dla wytapiania smoły, terpentyny i potażu, zamieszkują niektóre wsie całkowicie, w innych pomieszani są z Litwą i Rusinami. Puszcza, lub inaczej mówiąc, jednakie warunki bytu, wyrodziły i cechy jednakie w mieszkańcach, tak, że nie różnią się oni między sobą ni ubiorem, ni sposobem życia, ni typem twarzy.

Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost, są bardzo szczupli, niemal chudzi. Ubiór ich stanowi szara siermięga, sięgająca kolan, płócienne szarawary i chodaki z łyka, przymocowane sznurkiem, okręconym koło nogi, czem nie różnią się zresztą od swych zapuszczańskich sąsiadów. Co mnie w nich uderzyło, to nadzwyczaj delikatna cera, jakiej gdzieindziej nie dostrzedz. Zawdzięczają ją oni zapewne życiu w cieniach i mrokach leśnych. Mniej wystawieni na działanie promieni słonecznych, mniej się też opalają. Jasnowłosych niewielu pomiędzy nimi widziałem. Prawie wszyscy mają ciemno-blond włosy i wielkie, zamyślone, niebieskie oczy. Są to twarze ładne, a zwłaszcza sympatyczne, o rysach bardzo drobnych i uduchowionym wyrazie. Lud to trzeźwy, gościnny i nadzwyczaj pobożny. Po zniesieniu kościoła w Narewce, mają teraz cztery mile do swej parafii w Narwi, a jednak jeżdżą do kościoła jak tylko mogą najczęściej. Mieszkańcy Bud są wszyscy katolicy, mieszkańcy Białowieży po większej części. Nie brak tam jednakże i eks-unitów. Ludność Teremissów, Orzechowa, Hurynowa, Skopowa, Narewki, Mielnika, Niemierzy, Tuszelmy etc., jest przeważnie mazurska. Puszczę swoją

kochają wszyscy nad życie i zdają sobie z tego sprawę. Ponieważ była między nami mowa o tem, że dla zwierzostanu puszczy lepiejby było przenieść wsie nazewnątrz niej, spytaliśmy powożącego nas budnika: czyby nie zgodzili się na to, gdyby im dano dwa razy więcej ziemi?

— Za nic, panie! — odpowiedział swoim śpiewnym, pieszczonym głosem. — W puszczy najlepiej; a tam tak goło... widno... Ot, żeby panowie wiosną przyjechali, to u nas ślicznie. Ach! ach!

Jeżeli o Litwinach mówią, że przeciągają, to przeciąganie to w puszczy dochodzi u Mazurów i nie-Mazurów do takiego stopnia, że się uszom nie chce wierzyć. Między innemi opowiadaliśmy naszemu budnikowi o jubileuszu częstochowskim. Słuchając, wznosił swoje śliczne błękitne oczy do góry i powtarzał z zachwytem: «Ach, Boże! Boże!» — ale wymawiał: «Ach, Buuoooże! Buuuoooże!» Jest to już nie przeciąganie, ale poprostu śpiew.

Na zapytanie: czy umie czytać? — odpowiedział:

— Panie! u nas ani jednego niema we wsi, coby się z książki nie modlił.

Jest to nawet dziwne u ludu tak zamkniętego, tak oderwanego od reszty świata, a jednak praw-

dziwe. Kto ich uczył i kiedy? Uczą się sami. Mają nauczycieli i płacą im dobrze, a mogą, bo prawie wszyscy są nader zamożni. Uważali się zresztą po wszystkie czasy za coś lepszego od pańszczyźnianych, a za równych drobnej szlachcie, więc uczyli się czytać.

— My, panie, byli królewscy ludzie, wolni — mówił nasz przewodnik. — Do nas jeszcze i z okolic «wciekali», bo jak kto wciekł, tak my nie wydawali, ale bronili. Tu u nas wola była...

Za owych dawnych czasów uciekało rzeczywiście i wielu pańszczyźnianych «pod królewską rękę». Jechać ich tam szukać było trudno i niebezpiecznie. Z tych to powodów legenda otoczyła wspomnienie króla jakimś urokiem opieki, miłosierdzia, wielkości i dobroci. Do dziś opowiadają sobie w chatach, przy świetle łuczywa, o wielkich łowach królewskich, o zjazdach, o złocistych karetach i rycerzach, którzy je otaczali. W jednostajnem puszczańskiem życiu pamięć trwa długo, bo nie ścierają jej zewnętrzne wrażenia. Lud ten żył przez całe wieki nader spokojnie; zmiany, które gdzieindziej wstrząsały bytem wieśniaczym i sprowadzały niejednokrotnie rozbrat między dworem a chatą, tu, dla samego

już braku dworów, nie odbijały się wcale. Tu chłop od wieków władał ziemią, więc nowsze czasy nie przyniosły nic nowego. Może dlatego na ubranego w surdut wędrowca patrzą tu ciekawie, ale witają go serdecznie, jak gościa, ale i swojego zarazem.

Więcej zmian wprowadziły nowsze czasy w kaście dawnych leśników. Mówię: w kaście, gdyż urzędy te przechodziły przez wieki całe z pokolenia na pokolenie. Dziś wielu jest między nimi ludzi ze stron dalszych, wszystkich jednakże niepodobna było zastąpić, bo ażeby znać puszczę i umieć sobie w niej radzić, trzeba się w niej wykołysać. Próbowano zastąpić miejscowych osadników mieszkańcami innych dalekich lasów i razu pewnego sprowadzono tych ostatnich, jako nadzwyczaj biegłych, na jakieś wielkie polowanie. Ale cóż się stało? Oto odrazu wszyscy pogubili się w puszczy, i łowy nie udały się zupełnie. Nasz budnik opowiadał nam o tem z pewną dumą.

— Kto, panie, puszczy nie zna, — mówił — a zjedzie z drogi, ten i przepadł. U nas złodziej konia nie ukradnie, bo ucieka drogą, to go złapiem, a zjedzie, to będzie trzy dni jeździł i nie wyjedzie... Tak, panowie!

Jaka szkoda, że ten, tak ciekawy lud, tak mało jest dotąd zbadany pod względem bytu, obyczajów, obrzędów i pieśni! Zadanie wdzięczne, dotąd nie spełnione, czeka na podróżnika — badacza.

Również nie dość znaną dotąd jest cała puszcza, a niezawodnie zawiera ona prawdziwe skarby zwierzęce i roślinne, ukryte jeszcze w znacznej części.

Byłbym szczęśliwy, gdyby moje opowiadanie mogło kogo zaciekawić i zachęcić. Inne części kraju znane są lepiej, a może nie są tak ciekawe, tak odrębne, może nie tworzą takiego zamkniętego w sobie świata. Mnie i moim towarzyszom miłoby było dłużej z ludem i puszczą przestawać, poznać wszystkie jej zakąty i tajemnice, zanurzyć się w nią głębiej, zżyć się z nią lepiej, ale po kilku dniach musieliśmy niestety zaśpiewać Mohortową piosenkę:

«Czas do domu, czas!
«Zabawili nas!»

Przytem niebo zawlokło się chmurami, i począł padać deszcz, obfity a uparty. Zasępiła się cała puszcza i zaszła mgłą... Bagienka wezbrały. Niepodobna było robić wycieczek. Słotna jesień zastępowała pogodną... Siedliśmy tedy

na nasz wóz podróżny i po kilku godzinach wyjechali na świat otwarty.

Otoczyły nas znowu równie senne. Budnik miał słuszność: widno na tych równinach i nago... Myśl też chętnie wraca do tych lasów odwiecznych, i pióro chętnie dzieli się wrażeniami z czytelnikiem...

KONIEC TOMU SZÓSTEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

tomu szóstego.

LISTY Z PODRÓŻY.

	Str.
X. Szkice amerykańskie. (Z puszczy)	7
XI. Szkice amerykańskie	67
XII. Z puszczy Białowieskiej	121

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.6
486080

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET